

WIESŁAW KURDOWSKI

# Profesor Adam Bielański

Twórca Wydziału Ceramicznego AGH



WIESŁAW KURDOWSKI

**Profesor  
Adam  
Bielański**

**Twórca Wydziału Ceramicznego AGH**

Stowarzyszenie Producentów Cementu  
Kraków 2019

|                                |                     |
|--------------------------------|---------------------|
| Redaktor                       | Małgorzata Galusowa |
| Skład i łamanie tekstu,<br>DTP | AD-LINE, Kraków     |
| Okladka, strony tytułowe       | Artur Darłak        |

© Copyright by Stowarzyszenie Producentów Cementu, Kraków 2019

ISBN: 978-83-61331-32-2

Wydawca:



Stowarzyszenie Producentów Cementu  
ul. Lubelska 29, 30-003 Kraków  
tel. +48 12 423-33-55  
fax +48 12 423-33-45  
e-mail: [wydawnictwo@polskicement.pl](mailto:wydawnictwo@polskicement.pl)  
<http://www.polskicement.pl>

Druk i oprawa

Drukarnia Skleniarz, Kraków

# Spis treści

---

|  |    |
|--|----|
| Przedmowa .....  | 5  |
| Od autora .....  | 10 |
| Sylwetka profesora Bielańskiego .....                              | 18 |
| Wspomnienia 1 – Czasy dziecinne .....                              | 19 |
| Wspomnienia 2 – Czasy szkolne (1919 – 1923 – 1931) .....           | 30 |
| Koledzy w gimnazjum.....   | 39 |
| Wspomnienia 3 – Czasy studenckie – uczelnia .....                  | 45 |
| British Council – Wielka Brytania.....                             | 60 |
| Tworzenie Wydziału Ceramicznego przez profesora Bielańskiego ..... | 67 |
| Wspomnienia 4 – Praca na Wydziale Ceramicznym (1949 – 1964) .....  | 73 |
| Profesor Bielański jako nauczyciel.....                            | 83 |
| Jubileusz .....  | 90 |
| Spotkania urodzinowe .....   | 95 |
| Zakończenie .....  | 97 |
| Dodatek .....  | 99 |



# Przedmowa

---

W tym roku przypada ważna siedemdziesiąta rocznica powstania Wydziału Inżynierii Materiałowej i Ceramiki AGH, na początku nazwanego krótko Wydziałem Mineralnym, a później Ceramicznym, aby ostatecznie uzyskać nazwę podaną jako pierwszą. Z tego względu doszedłem do wniosku, że nie można nie uczcić we wspomnieniach Twórcy tego Wydziału, profesora Adama Bielańskiego. Będę o tym mówił na wystąpieniu inauguracyjnym, o które poprosił mnie Dziekan naszego Wydziału. Jednak słowa są ulotne i na ogół krótko pozostają w pamięci. Natomiast nawet ta mała książeczka będzie stanowiła trwałą dowód naszej pamięci o profesorze Bielańskim i będzie „na zawsze” znajdowała się w Muzeum Historii Akademii Górniczo-Hutniczej oraz w kronikach Wydziału Ceramicznego.

Napisanie tej książeczki nie było łatwe i nawet ja miałem trudności w wyborze najważniejszych zagadnień, które zadecydowały o doborze rodzajów nauk stosowanych trafnym dla tego Wydziału, a przecież byłem studentem z pierwszego „naboru” na Wydział Mineralny i uczestniczyłem od początku w powstawaniu kierunków kształcenia. Miały one decydujący wpływ na przygotowanie absolwentów tych studiów do zawodu technologa, w różnych działach szeroko pojmowanego przemysłu ceramicznego.

Nie ulega wątpliwości, że wielka wiedza profesora Bielańskiego leżała u podstaw wybranego przez niego jako Dziekana programu studiów, w zdecydowanej większości trafnego. Nie było to sprawą łatwą, trzeba bowiem przypomnieć, że studia na kierunku ceramika były czymś nowym i dopiero zaczynały się rozwijać. W owym czasie były one upra-

wiane w Europie w dwóch ośrodkach: w Moskwie w Uniwersytecie Mendelejewa oraz we Francji w Limoges, w École Nationale Supérieure de Céramique Industrielle. Trzeba więc było nie tylko oprzeć się na doskonałej znajomości chemii, lecz równocześnie wykazać się trafną oceną zapotrzebowania studentów Wydziału Ceramicznego na określone rodzaje nauk stosowanych. Profesorowi Bielańskiemu udało się to znakomicie.

Utworzono, na przykład, Katedrę Chemii Krzemianów, w której doskonale połączono zagadnienia z mineralogii z problemami przemian fazowych stanowiących podstawę chemii cementu. Analogie są tutaj bardzo duże, a zrozumienie polimorfizmu, a także roztworów stałych, jest niezbędne do pełnego poznania czynników decydujących o właściwościach faz powstających w szeregu technologii ceramicznych.

W celu poznania źródeł wspaniałej kultury osobistej profesora Bielańskiego włączyłem do książki, jako materiał podstawowy, wspo-



Prof. Adam Bielański podczas uroczystości wręczenia doktoratu *honoris causa* Uniwersytetu Wrocławskiego, 28 lutego 2001

mnienia profesora z lat dziecinnych, młodzieńczych i studenckich, które zawdzięczam synowi profesora – Piotrowi Bielańskiemu. Jest to niezwykle wartościowy materiał, który pozwala zrozumieć i należycie ocenić wielkie możliwości intelektualne profesora, które stały się podstawą jego sukcesów organizacyjnych i pedagogicznych.

Dużo o profesorze Bielańskim dowiedziałem się także z wywiadu, który z nim przeprowadziła pani redaktor Rita Pagacz-Moczarska. W trakcie tego wywiadu profesor powiedział między innymi, że już od najmłodszych lat marzył o chemii. Ujął to w następujący sposób: „Do chemii miałem inklinacje od młodych lat. Już jako uczeń szkoły powszechnej przeprowadzałem różnego rodzaju eksperymenty, wykorzystując przy tym palnik spirytusowy i probówki, które wówczas można było kupić w sklepie z odczynnikami chemicznymi, znajdującym się przy Rynku Głównym, na linii AB. Kiedy wreszcie w drugiej klasie gimnazjum chemia pojawiła się jako przedmiot nauczania, od początku byłem nią zaintrygowany.” Profesor duży nacisk kładł na studiowanie fizyki, równoległe z chemią lub nawet przed rozpoczęciem studiów z chemii. Mówił o tym tak: „Dzisiaj byłbym mądrzejszy i oprócz chemii studiowałbym także fizykę. Bo moim zdaniem w dzisiejszych czasach studiowanie chemii powinno się zaczynać od porządných studiów z zakresu fizyki.” Bardzo ważne było także zdanie profesora Bielańskiego, jaki powinien być wykład: „Ważne jest, by nawet o skomplikowanych rzeczach umieć mówić w sposób prosty. Lepiej jest zaczynać od opisu zjawiska, a potem dopiero mówić o teorii. Bardzo cenna jest również umiejętność komunikowania się ze studentami, przekazywania im swojej pasji, a także poczucie taktu w stosunku do tych młodych ludzi.” Wykłady profesora Bielańskiego, których słuchołem przez cztery semestry,



były właśnie takie: nawet najtrudniejsze zagadnienia były tłumaczone w sposób prosty i jasny oraz dla wszystkich zrozumiały.

Autor nie może z góry przewidzieć, jak tego rodzaju „książeczka” zostanie przyjęta przez Czytelników, może jednak mieć nadzieję, że stanie się ona dobrym przykładem znaczenia kultury osobistej, obok wiedzy, w rozwiązywaniu trudnych zagadnień organizacyjnych. Jest ona także bardzo ważnym czynnikiem pomagającym w ocenie możliwości pedagogicznych kandydatów na wykładowców. Patrząc dzisiaj na bardzo udany wybór wykładowców przedmiotów technologicznych, którzy prawie wszyscy zostali profesorami, nie mogę jeszcze raz nie podkreślić znaczenia wielkich walorów osobistych profesora Bielańskiego.

Osobowość wielkiego naukowca i znakomitego pedagoga, jakim był profesor Bielański, miała ogromny wpływ na wyjątkową atmosferę panującą w tamtych latach na Wydziale Ceramicznym. Profesor uważał, że miało na to wpływ zrozumienie przez moje pokolenie, jak ogromne znaczenie ma nauka dla każdego młodego człowieka oraz dla jego środowiska i w końcu dla jego ojczyzny. Miało to na pewno duży wpływ na nasze podejście do opanowywania różnych, dla nas często zupełnie nowych, dziedzin nauki. Jednak nie można ani na moment zapominać o wielkiej roli profesora Bielańskiego w tworzeniu tej atmosfery. To jego przykład osobisty, jego traktowanie Wydziału, który powinien stanowić jedność z Katedrami, ma w tym zakresie duże znaczenie. Te z kolei powinny uprawiać badania związane z zagadnieniami stanowiącymi podstawy technologii ceramicznych i decydujących o ich rozwoju. Nie można zapominać, że prowadzenie badań związanych tematycznie z wykładami stanowi warunek ciekawych wykładów, w tych bowiem warunkach wykładający „żyje” tymi problemami. Jako doświadczony wykładowca mogę stwierdzić, że młodzież doskonale wyczuwa to przy-

gotowanie wykładowcy, daleko wykraczające poza treści poruszane w wykładzie.

Profesor Bielański był dla nas wspaniałym przykładem pod wieloma względami, przede wszystkim uczył, jak się uczyć. Po drugie, zresztą tak samo ważne, jak traktować wykładowców, asystentów, a także swoich kolegów, co prowadziło do bardzo miłej atmosfery studiów. Ja sam zachowuję bardzo miłe wspomnienia, o częstej wspólnej nauce, gdy na przykład pomagałem kolegom w opanowaniu układów równowagowych, które stanowiły jeden z trudniejszych działów chemii ogólnej. Równocześnie stanowiły one podstawę do zrozumienia procesów powstawania nowych faz, co ma duże znaczenie w technologiach ceramicznych. Są one bowiem ważnym, a równocześnie niezbyt popularnym działem wysokotemperaturowej inżynierii chemicznej.

*Kraków, w kwietniu 2019 roku*

## Od autora

---

Jako student pierwszego „naboru” na utworzonym Wydziale Mine-  
ralnym w Akademii Górniczo-Hutniczej miałem możliwość uczestni-  
czenia w powstawaniu tego nowego kierunku studiów w Polsce. Byłem  
świadkiem opracowywania programu studiów, a także doboru wykła-  
downców, którzy są zapisani w moim indeksie. Były to wszystko bardzo  
trudne zagadnienia, o ile bowiem wybór profesorów z przedmiotów  
podstawowych, do jakich trzeba zaliczyć matematykę, fizykę, chemię  
i geometrię wykreślną, nie stanowił w AGH problemu, o tyle nie było  
wykładowców z przedmiotów specjalistycznych. Właściwie był tylko je-  
den – profesor Jerzy Konarzewski, który wykładał technologię materia-  
łów ogniotrwałych na Wydziale Metalurgicznym. Nawiasem mówiąc,  
profesor Konarzewski ukończył studia w Politechnice Warszawskiej  
i był związany z Katedrą Chemii, prowadzoną przez słynnego profeso-  
ra Józefa Zawadzkiego, wychowawcę takich profesorów, jak Stanisław  
Bretsznajder, Janusz Ciborowski i Stefan Weychert. Profesor Konarzew-  
ski miał także spory dorobek naukowy z chemii cementu, ponieważ jego  
doktorat i habilitacja dotyczyły tej dziedziny: doktorat „Związki układu  
 $\text{CaO-Fe}_2\text{O}_3$  i ich rola w cemencie portlandzkim”, natomiast habilitacja:  
„Przebieg reakcyj powstawania krzemianów, glinianów i żelazinów  
wapnia w procesie wypalania cementu portlandzkiego”.

Katedra profesora Zawadzkiego prowadziła także badania dla Eigera,  
członka zarządu polskiego koncernu „Firley”, produkującego około 4 mi-  
lionów ton cementu na rok. Te badania miały duże znaczenie naukowe,  
na przykład dotyczyły roztworów stałych  $\text{C}_3\text{AH}_6\text{-C}_3\text{FH}_6$ , a także Eiger

jako pierwszy znalazł korelację wytrzymałości zaprawy ze stopniem hydratacji cementu. O znaczeniu jego prac świadczą ich sześciokrotne cytowania w monografii Lea „The Chemistry of Cement and Concrete”, prawdopodobnie we wczesnych wydaniach, ale utrzymane w wydaniu z roku 1971.

Wszystkie problemy utworzonego Wydziału musiał rozwiązywać dziekan; początkowo opiekował się nami dziekan Wydziału Górniczego profesor Antoni Sałustowicz, ale naprawdę byliśmy „pod berłem” profesora Andrzeja Bolewskiego. To staraniem profesora Bolewskiego powstał Wydział Mineralny, przy pełnym poparciu ówczesnego Rektora AGH, profesora Walerego Goetla.

Należy podkreślić, że początki okupacji niemieckiej i utworzenie Generalnego Gubernatorstwa, na terenach niezaliczonych do Rzeszy, rozpoczęły się dla profesora Bolewskiego tragicznie. W słynnej „Sonderaktion Krakau” został wraz z wieloma profesorami, w grupie liczącej 183 naukowców, aresztowany przez Gestapo w Collegium Novum i wywieziony do obozu; początkowo był to Sachsenhausen koło Oranienburga, a ostatecznie Dachau. W sumie profesor Bolewski spędził w obozach około dwa lata i został zwolniony dzięki staraniom profesora Uniwersytetu w Barcelonie, którym był Jaime Marcet Riba. Interweniował on w tej sprawie w ambasadzie niemieckiej w Madrycie. Bolewski znał go dobrze, przed wojną bowiem, w roku 1933, studiował w Hiszpanii zagadnienia niektórych złóż, przede wszystkim siarki rodzimej i rud rtęci.

Profesor Goetel nie uczestniczył w spotkaniach profesorów w Collegium Novum, dotyczących rozpoczęcia roku akademickiego w październiku w 1939 r., nie miał bowiem zaufania do władz niemieckich. Oficerowie SS, a przede wszystkim Gestapo, z pozoru przychylnie odnosili się do tych spotkań, te zgromadzenia profesorów ułatwiły im bowiem

pewnego dnia ich aresztowanie i wywiezienie do obozów. Hitlerowskie Niemcy traktowały Polaków jak niewolników „do roboty”, a najwyższym możliwym stanowiskiem był sprzedawca w sklepie; z tego względu pozostawiono technika handlowe. Profesor Goetel lepiej rozumiał to nastawienie Hitlerowców i unikał takich zgromadzeń. Natomiast umiał także lepiej pertraktować z Niemcami, co pozwoliło mu zorganizować dwa lata później nauczanie dla młodych studentów w pierwszym gmachu AGH, na Krzemionkach. Profesor Goetel zorganizował także mały tajny zespół, który studiował położenie złóż użytecznych rud we wschodnich regionach Niemiec, a kierował zespołem profesor Bolewski. Zespół ten opracowywał także, w oparciu o te studia, przebieg zachodniej granicy Polski, a wszystkie te prace prowadzono w budynku AGH na Krzemionkach. Opracowywanie przebiegu zachodniej granicy wynikało z pełnego przekonania tego grona, że Niemcy poniosą klęskę w wojnie z Aliantami. Już w roku 1943 profesor Goetel wyraził przypuszczenie, że wschodnia granica Polski będzie się pokrywać z tak zwaną „linią Curzona”, to jest będzie przebiegać mniej więcej wzdłuż Sanu i Bugu, w związku z czym prawdopodobne jest przesunięcie granicy na zachodzie na linię Odry i Nysy Łużyckiej. Równocześnie tajne informacje napływające ze świata, szczególnie z Konferencji w Jałcie, powodowały przypuszczenia, że Polska po klęsce hitlerowskich Niemiec otrzyma ziemie na zachodzie. Prace nad tą granicą, a także nad nowymi terenami, które Polska uzyska na zachodzie, odbywały się w paradoksalnych warunkach, profesor Bolewski bowiem opracowywał propozycję tej granicy w budynku na Krzemionkach, w pokoju na pierwszym piętrze, a na parterze mieli kwatery żołnierze Wafen-SS. Opracowywano również drogi wodne na tych terenach, czym zajmował się Adam Bielański, ojciec profesora Bielańskiego.

W przygotowywanych materiałach, opartych na szczegółowym rozpoznaniu bogactw naturalnych tych terenów, opracowywanych przez profesora Bolewskiego, przedstawiono także uzasadnienie prawa Polski do tych ziem. To spowodowało, że profesor Bolewski, razem z profesorem Goetlem, uczestniczył w obradach w Poczdamie, jako ekspert wspierający prace polskiej delegacji. Jak wiadomo, w pracach tych ustalono ostatecznie zachodnią granicę Polski. Profesor Goetel, wspierany przez profesora Bolewskiego, odegrał w tych obradach dużą rolę, która miała wielkie znaczenie dla Polski.

W opracowywanych na Krzemionkach materiałach dużą pomoc dla profesora Bolewskiego stanowił młody pracownik Hubert Gruszczyk, późniejszy profesor AGH. Aby zapoznać się z warunkami, w jakich odbywała się ta praca, przy ciągłej inwigilacji Polaków przez okupanta niemieckiego, warto sięgnąć do książki profesora Bolewskiego „Z drogi do Poczdamu”.

W czasie okupacji profesor Bolewski brał również udział w prowadzeniu wykładów, w utworzonej na Krzemionkach, z inicjatywy profesora Goetla, Górniczo-Hutniczej Szkole Technicznej i w Państwowym Zakładzie Badania Materiałów, w którym profesor Bolewski zajmował się badaniem materiałów budowlanych. Stąd wywodziły się między innymi opublikowane przez dr Gruszczyka doświadczenia dotyczące cementów zmieszanych z granulowanym żużlem wielkopiecowym. Trzeba przypomnieć, że cementy hutnicze rozpoczęto produkować w Polsce dopiero w roku 1951.

Powracając do zagadnień związanych z Wydziałem Mineralnym, trzeba podkreślić, że profesor Bolewski był w pełni zaangażowany w opiekę nad pierwszą i w tym okresie jedyną grupą młodzieży studenckiej na tym Wydziale. Obok wykładów z mineralogii i zasobów oraz właściwo-

ści surowców potrzebnych do produkcji wyrobów ceramicznych i materiałów budowlanych, profesor Bolewski wprowadził także przedmiot nauczania: „Encyklopedia przemysłu mineralnego”, a wykłady z tego przedmiotu prowadził także sam. Mieliśmy także przedmiot „Górnictwo Odkrywkowe”, a wykłady prowadził prof. Bednarski, oraz geologię, którą wykładał sam profesor Walery Goetel.

Profesor Bolewski kończy „Z drogi do Poczdamu” refleksjami, w których nawiązuje do celowości rozszerzenia zakresu kształcenia inżynierów przez Wydział Górniczy przez włączenie górnictwa odkrywkowego. Spowodowało to, jak podaje, konieczność utworzenia dwóch nowych kierunków kształcenia: „górnictwa odkrywkowego” i „ceramiki”. Profesor Bolewski tak to ujmuje: „W tej sytuacji doszło w Akademii Górniczej do utworzenia Wydziału Mineralnego złożonego z dwóch oddziałów: górnictwa odkrywkowego i ceramiki. Stan taki trwał do 1952 r., w którym oddział górnictwa odkrywkowego przeszedł z Wydziału Mineralnego do właściwego mu Wydziału Górniczego, a oddział technologiczny został przekształcony w Wydział Ceramiki. Omawiane kierunki studiów wyższych i związane z nimi ośrodki pracy naukowej znajdowały tylko nikłe analogie w szkolnictwie wyższym innych krajów.”

Jako skromny student tego Wydziału, od początku jego istnienia widziałem to trochę inaczej. Nie było różnic w kształceniu studentów z tych „dwóch pozornych grup”, którzy mieli te same programy zajęć. Profesor Bolewski początkowo prawdopodobnie widział to kształcenie jako jeden kierunek: górników odkrywkowych z rozszerzonym przygotowaniem do poznania podstaw technologicznych wykorzystania wydobytych surowców do produkcji wyrobów ceramicznych i materiałów budowlanych. Takie rozszerzenie kształcenia specjalistów od górnictwa odkrywkowego ma swoje uzasadnienie w lepszym zrozumieniu

prac wydobywczych, na przykład zasad wyboru ściany eksploatacyjnej w oparciu o jej skład chemiczny. Ośmielałem się przypuszczać, że dopiero dyskusje z profesorem Bielańskim ukształtowały pogląd, że równoczesne studiowanie tych kierunków nie jest możliwe. Ceramika jest wysokotemperaturową inżynierią chemiczną i przygotowanie specjalisty w tym zawodzie wymaga znacznego rozszerzenia zajęć z chemii, w tym szczególnie z chemii fizycznej, z technologii ciepła i paliwa oraz z operacji jednostkowych.

Profesor Bolewski sam zajmował się przed wojną produkcją wyrobów ceramicznych z wydobywanych surowców. Dowiedziałem się o tym na wykładach profesora, a dotyczyły one między innymi wytwarzania ceramicznych „zamknięć” flaszek, w których sprzedawano wodę do picia, o żargonowej nazwie lokalnej „krachla”. Te „zamknięcia” ceramiczne wytwarzano z tufów bogatych w potas, których złożę znajdowało się we wsi Filipowice, bardzo blisko leśniczówki należącej do lasów hrabiego Potockiego z Krzeszowic. Mój ojciec należał do leśniczych hrabiego, a mieszkał w tej leśniczówce, w której ja przyszedłem na świat i z tego powodu dobrze zapamiętałem ten fragment z wykładu profesora Bolewskiego. Sam zresztą piłem tę „krachlę” przed wojną. W Filipowicach został zbudowany z bloków wyciętych z tufów kościół za czasów Polski Ludowej, dzięki dużej inteligencji mieszkańca tej wsi o nazwisku Widyndy. Wyszukał on księdza, który był więziony w obozie „Auschwitz – Birkenau” razem z późniejszym premierem Cyrankiewiczem, i dzięki tej znajomości uzyskał zgodę na budowę kościoła.

Trzeba podkreślić, że takiego kierunku kształcenia jak „Technologia Ceramiki” nie było praktycznie na świecie. Ja spotkałem się z dwoma: w Uniwersytecie im. Mendelejewa w Moskwie w roku 1962 i we Francji École Nationale Supérieure de Céramique Industrielle, w Limoges.



Szczególnie wiele kontaktów miałem z profesorami z Uniwersytetu w Moskwie; było to przecież w okresie Polski Ludowej. Tam poznałem profesora Timaszewa, który odwiedził mnie w Polsce kilka lat później. O jego ciekawych badaniach dowiedział się „cały świat” naukowy specjalistów z tej dziedziny nauk stosowanych na Kongresie Chemii Cementu w Paryżu, w roku 1980. Profesor Timaszew miał wykład na temat procesu powstawania klinkieru, uwzględniający szczególnie zagadnienie lepkości stopu, decydującego o szybkości tego procesu. Wyniki jego badań prezentowane w Paryżu cytuję w mojej książce „Chemia cementu i betonu”.



Profesor Bielański podczas wykładu w Monachium w roku 1959

Natomiast ze słynnym profesorem Budnikowem spotkałem się dwa razy: na „Silikonf” w Budapeszcie i zostałem zaproszony do jego domu w Moskwie. Miałem wtedy ogromne trudności z kupnem kwiatów;

w końcu w jakiejś kwiaciarni zlitował się nade mną ekspedient i obciął kwiaty z fiołka alpejskiego. Profesor Budnikow był najbardziej znanym na świecie specjalistą rosyjskim z zakresu chemii cementu. Opublikował około 1100 prac w różnych czasopismach, w tym sporo w zagranicznych. Śmiano się, że w jednej z nich stwierdził hydratację inertnej fazy  $\gamma\text{-Ca}_2\text{SiO}_4$ . Mam „Sbornik Trudow” zawierających te prace, jednak tej o fazie  $\gamma\text{-Ca}_2\text{SiO}_4$  nie znalazłem. Natomiast cytuję w mojej „Chemii cementu i betonu” zbadane przez niego krzywe wiązania gipsu w wyniku hydratacji CA i  $\text{C}_{12}\text{A}_7$ .

# Sylwetka profesora Bielańskiego

Profesor Adam Bielański był wyróżniającą się osobowością, przy równoczesnej wielkiej skromności i uprzejmości dla wszystkich rozmówców, nawet takich, których spotykał po raz pierwszy. Jako jeden z wielu takich przykładów przypomnę jego rozmowę ze studentem Politechniki Śląskiej w Gliwicach, który chciał dowiedzieć się o możliwości przeniesienia się na Wydział Ceramiczny. Przypadkowo byłem świadkiem tej rozmowy, która odbyła się w Dziekanacie, w pokoju zajmowanym przez Kierowniczkę Dziekanatu i jej pracownicę. Student z Gliwic spotkał w tym pokoju profesora Bielańskiego, już w owym czasie Dziekana Wydziału. Nie wiedząc, z kim rozmawia, student ten uzyskał szczegółowe informacje o warunkach przeniesienia. Wówczas, na zakończenie bardzo miłej i grzecznie prowadzonej przez jego interlokutora rozmowy, zapytał, czy nie byłoby celowe spotkanie z Dziekanem. Na to otrzymał zaskakującą odpowiedź: Dziekanem jestem ja!

Ta niezwykle skromna i miła osobowość profesora wiązała się ściśle z wychowaniem, jakie odebrał w domu rodzinnym, i z atmosferą w nim panującą. Z tego względu duże znaczenie dla Czytelników tej książeczki będzie poznanie rodziny profesora Bielańskiego, a także jego lat dzieciennych, młodzieńczych i studenckich.

Aby zapoznać Czytelników z rodziną profesora Bielańskiego, najlepiej sięgnąć do jego wspomnień z lat dzieciennych. Oto one.

Moja najbliższa rodzina zarówno ze strony Ojca jak i Matki zaczęła się licznie osiedlać w Krakowie na przełomie XIX i XX wieku. Dziadek Gustaw Bielański, zrezygnowawszy z praktyki lekarskiej w Bochni i Łańcucie, objął tutaj stanowisko lekarza powiatowego, według ówczesnej terminologii „fizyka powiatowego”. Do Krakowa sprowadzili się również jego teściowie, Adam Noel z żoną Kamilą z Youngów, na okres emerytury. Był on uprzednio dzierżawcą Sosolówki, majątku Lanckorońskich położonego pod Czortkowem we Wschodniej Galicji. Pełnił również przez pewien czas funkcję pełnomocnika hr. Karola Lanckorońskiego w jednym z jego kluczowych majątków. Kraków stał się też atrakcyjnym miejscem pracy mojego Ojca Adama Bielańskiego, który po ukończeniu studiów inżynierii wodnej i lądowej na politechnice lwowskiej i po dwuletniej pracy w Cesarsko-Królewskim Namiestnictwie we Lwowie – pełniącym funkcję rządu w autonomicznej Galicji, został zatrudniony w kierownictwie prac nad ochroną przeciwpowodziową Krakowa. Była to zapewne największa inwestycja tego rodzaju w ówczesnej Galicji i praca przy jej realizacji musiała być bardzo atrakcyjna dla młodego inżyniera. Mniej więcej w tym samym czasie w Krakowie zamieszkała moja Babka Maria z Niewiarowskich Bogdańska z dwiema córkami, Marią, moją przyszłą Matką, i Urszulą, przyszłą żoną znanego krakowskiego lekarza Dra Bolesława Komorowskiego. Babka była właścicielką Huciny, małego majątku pod Kolbuszową, który sprzedała po śmierci swojego męża, Mirosława, zmarłego w 1905 r. Pozwoliło to jej na zamieszkanie w Krakowie, do czego zapewne zachęcała ją obecność w tym mieście jej brata Władysław

sława Ligęza Niewiarowskiego, emerytowanego rotmistrza austriackich ułanów, i jego rodziny.

Kraków, pomimo że był miastem nadgranicznym monarchii austro-węgierskiej – do granicy z „Królestwem”, to jest zaboru rosyjskiego było z Rynku krakowskiego zaledwie kilka kilometrów – rozwijał się w tym okresie szybko. Zapomniano już o upadku miasta po powstaniu krakowskim i likwidacji Republiki Krakowskiej w 1846 r. oraz klęsce pożaru w 1850 r. i germanizacji uniwersytetu. Był ważnym ośrodkiem życia narodowego, kultury (malarstwo i poezja Młodej Polski) i nauki (uniwersytet w pełnym rozwoju, Akademia Umiejętności). Długie lata pokoju, wysoki standard kulturalny, a także brak konfliktów narodowych i autonomia galicyjska musiały dawać poczucie bezpieczeństwa i stanowić magnes przyciągający Polaków z innych części Galicji oraz z innych zaborów. Przykładem tego są wspomniane już migracje moich dziadków i pradziadków do tego miasta. Wyrazem tej rosnącej roli Krakowa były także wspomniane przez moich Rodziców uroczystości grunwaldzkie w 1910 r., największa ogólnopolska manifestacja czasów rozbiorowych, która zgromadziła 150 tys. uczestników.

Nastrój spokoju i stabilizacji odbija się także w numerze krakowskiego „Czasu”, szanowanego dziennika konserwatywnego, z dnia moich urodzin 14 grudnia 1912 (odbitkę kserograficzną ofiarował mi kiedyś na imieniny mój najstarszy wnuk Adaś). Recenzent „Czasu” chwalił koncert muzyki polskiej urządzony przez Towarzystwo Muzyczne, na którym wykonano koncert e-moll Chopina, Rapsodię Litewską Karłowicza oraz utwory chóralne Gomółki i Szamotulskiego.

Moi Rodzice pobrali się w lutym 1910 r. i po zawsze wspomnianej przez moją Matkę podróży na włoską Riwierę Morza Śródziemnego zamieszkali na parterze domu przy ulicy Studenckiej, stanowiącego wła-

ność mojego Dziadka Gustawa Bielańskiego, zajmującego tam ze swoją żoną i córką Halulą pierwsze piętro. Tam urodził się mój brat, Władek, 11 marca 1911 r.

W następnym roku Rodzice przenieśli się do mieszkania służbowego mojego Ojca w domu przy ulicy Jaskółczej, w którym urodziłem się w grudniu tego samego roku i w którym mieszkam do dnia dzisiejszego. Trzeba było mieć wyjątkowe szczęście, żeby całe długie życie w XX wieku, wieku wypędzeń, wysiedleń, wywózek i migracji, spędzić w miejscu urodzenia! Ten dom określany w dokumentach konserwatora zabytków jako „dworek podmiejski” został zbudowany w 1893 r. i stał na dużej parceli dochodzącej do samej Wisły. Zapewne z tego okresu pochodzi nasza stara lipa ocieniająca cały budynek w czasie letnich upałów. Cały obiekt został wykupiony z rąk prywatnych (rodzina Bandurskich czy Bandrowskich?) przez władze galicyjskie w związku z budową zabezpieczeń przeciwpowodziowych Krakowa i następnie przecięty murem ochronnym. Na szczęście przed naszym domem pozostawiono w nim obszerne „okno”, przez które wprost z werandy, a nawet ze środkowego pokoju widoczny był drugi brzeg Wisły i jej nurt. Zmiany na tej rzece, z którą tak bardzo blisko związany był mój Ojciec, zachodzące w różnych porach roku, w pewien sposób wyznaczały rytm dzieciennego życia, od pierwszych kawałków lodu pojawiających się na początku zimy – „sryżu”, poprzez kompletną powłokę lodową aż po wiosenne pęknięcie lodów i wspaniałe widowisko jej spływu, letnie powodzie oraz ruch galarów i statków parowych. W upały brzegi Wisły zaludniały się gromadami wyrostków kąpiących się w dość płytkiej przed naszymi oknami rzece. Obowiązywał oczywiście strój adamowy. Po ostatniej wojnie i zbudowaniu na wysokości Dąbia tamy na Wiśle poziom jej wód został sztucznie podniesiony, co stworzyło niebezpie-

czeństwo przelania się wody w czasie powodzi i konieczność zamurowania naszego „okna”.

Ulokowanie się naszej rodziny w tym miejscu wiązało się z faktem, że mój Ojciec był zatrudniony właśnie przy budowie urządzeń ochronnych. W ówczesnym Krakowie była to podobno lokalizacja odległa od śródmieścia i oczywiście tymczasowa. Obecnie mieszka w nim już czwarta generacja i ostatecznie kilka lat temu przeszedł on w nasze ręce.

Otoczenie bezpośrednio domu umożliwiała prowadzenie „gospodarstwa”: trzymanie w stajni konia, krowy i konia, rodzaj kuca, zwanego bułankiem, do obowiązków którego należała służba w zaprzęgu i ciągnięcie lekkiej bryczki zbudowanej w ten sposób, że na zabawnym kwadratowym siedzeniu mogły się pomieścić aż cztery osoby, dwie skierowane do przodu i dwie oparte o nich plecami skierowane do tyłu. Ten pojazd, mniej więcej mój rówieśnik, o dziwo, dochował się jeszcze do dzisiaj na zasłużonej emeryturze w zbiorze pojazdów konnych Akademii Rolniczej w Krakowie. Dziedziniec odgradzony od reszty ogrodu sztachetami był często pilnowany przez psa. Ogród ciągnął się wąskim pasem wzdłuż muru daleko aż za Aptekę pod Aniołem. W pewnym okresie Rodzice dzierżawili duży ogród na zapleczu domów stojących przy ulicy Kościuszki, przylegający do naszego wydłużonego pasa ogrodowego. Było to główne miejsce naszych zabaw wśród krzaków porzeczek, agrestu i malin pod dużą czereśnią obok rozłożystej lipy ze wspaniale pachnącymi kwiatami, dożyła ona jeszcze obecnych dni. W ogrodzie pracował, nie wiem na jakich warunkach, Tomasz ekszołnierz z czasów I wojny światowej, który wprowadzał nas w taktykę walki ruchomej, krycie się przed wrogiem i zachodzenie go od tyłu. Krzewy rosnące w ogrodzie stanowiły najwłaściwsze tło tych działań.

Najbliższy dom w sąsiedztwie należał do Abrahama Glikmana, starozakonnego właściciela sklepu z wyrobami żelaznymi, uważanego za bardzo solidnego kupca i sąsiada, co wyrażało się określeniem używanym przez dzieci „katolicki żyd”. Glikmanowie starannie obchodzili wszystkie święta żydowskie począwszy od szabasu aż do Święta Namiotów, kiedy na ganku wychodzącym na podwórze budowano kuczkę, rodzaj altany przeznaczonej zapewne na świąteczny posiłek tej rodziny. Drugą wojnę przeżył tylko jeden z dwóch synów Adam. Stary Abraham z żoną w 1940 r., kiedy zaczęto usuwać Żydów z Krakowa, wyjechał do Dębicy, gdzie go nawet raz w przejeździe odwiedził mój Ojciec. Adam Glikman, kilkanaście lat starszy ode mnie, znalazł się w grupie Żydów przeznaczonej do „likwidacji” przez rozstrzelanie w jakimś lesie. W czasie egzekucji wyrócił się i udając nieżywego przetrwał do odejścia Niemców. Po wojnie wrócił do Krakowa i objął rodzinny dom.

Główna część moich wspomnień z dzieciństwa wiąże się z domem na Jaskółczej. Tutaj obok Rodziców ważną rolę dla mnie odgrywały dwie osoby – moja babka Marynia Bogdańska, zwana także przez mojego brata babcią dzień od stołowego dzwonka stojącego na szafce obok jej łóżka. Była to moja szczególna opiekunka opowiadająca o dawnych dziejach rodzinnych, powstańcach, dziadku Mirosławie, którego już nie znałem, Kokoszyńcach i Hucinie, gdzie kolejno dziadkowie gospodarowali, właścicielka wielkiego biurka z niezliczoną ilością skarbów jak: szklany przycisk do papierów z wygrawerowanym Orłem polskim i litewską Pogonią, pamiątek z kuracji w Karlsbadzie, dzisiejszych Karlovych Varach, znaczków pocztowych z podobizną cesarza Franciszka Józefa, starszego pana z obfitymi bokobrodami, fotografii rodzinnych w uroczystych pozach i pieczętek do odciskania herbu na lakowanych listach.



Do stałych mieszkańców naszego domu oprócz Moich Rodziców, brata, babci Maryni należała także ciocia Ula – siostra mojej Matki. Razem z nami była w Austrii stanowiąc „od zawsze” integralną część naszej rodziny. W 1917 roku wyszła za mąż za zamieszkałego opodal przy ulicy Lelewela Dra Bolesława Komorowskiego, ulubionego przez nas lekarza całej rodziny. Wuj Bolek znacznie starszy od swojej żony był bardzo znanym lekarzem społecznikiem, znakomitym diagnostą, o bardzo szerokim wachlarzu społecznym swoich pacjentów, poczynając od zwierzyńniczych biedaków, dla których jego gabinet lekarski był codziennie otwarty bezpłatnie od 8 do 9-tej rano, aż po rodzinę Radziwiłłów w Balicach.



Adaś ze swoim starszym bratem

Ślub wujostwa odbył się w Kościele Norbertanek na Zwierzyńcu. W mojej pamięci utkwiło to, że starano się uniknąć robienia z niego krakowskiej sensacji i data oraz miejsce tej ceremonii były podane do wiadomości tylko najbliższym. Dorośli opowiadali jednak sobie, że jedna z licznych kuzynek mojej Matki, ciotka Henrysia Potocka znana z ciekawości i elokwencji, przeprowadziła własne dochodzenia w tej sprawie, szukając informacji w wielu krakowskich kościołach. Dom wujostwa Komorowskich należał do najczęściej odwiedzanych przeze mnie miejsc, a ciotka Ula była najważniejszą i najbliższą ciotką. Trójka ich dzieci: Jurek, Haneczka i Staszek stanowili najbliższe towarzystwo mojej siostry Zosi, powszechnie zwanej Zośką, której urodziny przypadły na noc Świętego Mikołaja. Zgodnie z ówczesnym obyczajem odbyły się one w domu, a nie w szpitalu. Powiedziano nam, że będziemy tej nocy spać u ciotki na Lelewela, co było raczej ciekawe, a następnego dnia okazało się, że mam siostrę. Była to dla mnie zupełna niespodzianka. Dzisiejsze dzieci szybciej się orientują w mającym nastąpić powiększeniu rodziny i podejmują dyskusje na ten temat.

Lata przedszkolne spędziliśmy z moim bratem przeważnie w rodzinie. Przez krótki czas chodziłem do czegoś w rodzaju przedszkola w narożnym budynku ulicy Św. Anny i Wiślniej. Później także do podobnej instytucji w pałacyku Wołodkowiczów obok dworca kolejowego. Uczyliśmy się także francuskiego, na lekcje przychodziła „madmoiselle”, postać, której zupełnie nie pamiętam, poza tym, że przemawiała do nas po francusku. Podstawy mojej edukacji przedszkolnej dali mi jednak Rodzice. Matka prowadziła nas czasem na Wawel. Restaurację Zamku rozpoczęto jeszcze przed 1914 r. i przerwano po wybuchu wojny. Dla zwiedzających dostępne były zdezelowane komnaty, a na najwyższej kondygnacji brakowało nawet stropów. Wizyty w Katedrze i pomniki

królów były doskonałą lekcją historii. W rezultacie, gdy pewnego dnia – a był to zapewne 31 października 1918 r. – moja Matka wróciła z miasta i powiedziała „A teraz jest Polska”, byłem już właściwie niezłe zorientowany, co to znaczyło. Te dni były świętowane przez krakowską ulicę. Ludzie dekorowali się orzełkami i asystowali przy południowej zmianie warty na Odwachu, nie istniejącej już wartowni dobudowanej do wieży ratuszowej. Na płocie przy linii A-B w Rynku, chroniącym miejsce po jakiejś zburzonej kamienicy, wieszano odznaczenia austriackie. Do kompletu wrażeń patriotycznych tego okresu należały też odwiedziny mojej babki Maryni przez p. Kępińskiego, przyjaciela dziadka Mirosława Bogdańskiego, powstańca z 1863 r, występującego w granatowym mundurze i rogatywce, mundurze przyznanym powstańcom.

Na mojej edukacji przedszkolnej zaważył bardzo także mój Ociec, z niebiańską cierpliwością odpowiadający na moje pytania, z czego się robi różne materiały i rzeczy, był źródłem wiadomości o Wiśle i w ogóle o przyrodzie. To po którejś serii moich pytań powiedział „*a ty to pewnie będziesz chemikiem*”. Istotnie moje zainteresowania chemiczne objawiły się po lekcjach chemii w drugiej klasie gimnazjalnej (odpowiednik obecnej klasy 6-tej szkoły podstawowej), kiedy rozpocząłem własne eksperymenty wykonywane oczywiście w łazience. Mogłem się już wówczas wyposażyć w lampkę spirytusową do ogrzewania próbek i wyginania rurek szklanych. W tych warunkach można było obserwować topienie się siarki i tajemnicze reakcje przy mieszaniu roztworów „sinego kamienia” (siarczan miedzi) i boraksu.

Informacje o latach przedszkolnych nie byłyby kompletne bez wspomnienia o Wrząsowicach. Był to majątek stanowiący własność mojej stryjenki Anny z Wiszniewskich Bielańskiej, położony w bezpośrednim sąsiedztwie Lusiny, gdzie gospodarował brat mojego Ojca Janek, senior.

Obydwaj bracia różnili się zarówno pod względem wyglądu fizycznego jak i usposobienia. Stryj był znacznie niższy od mojego Ojca, nie tęgi, ale o zaokrąglonej sylwetce, znany był za czasów swej młodości jako wesoły kawalarz, w odróżnieniu od mojego Ojca, bardziej poważnego, chociaż nie pozbawionego poczucia humoru. Stryjenka, uosobienie łagodności i cierpliwości, była córką powstańca z 1863 r., który osiadł w Krakowie, gdzie założył dobrze prosperującą aptekę (Apteka pod Gwiazdą w kamienicy na rogu ul Floriańskiej i św. Tomasza). Do niej należała opieka nad licznym potomstwem, począwszy od mojego rówieśnika Janka poprzez Gutka, Staszka, Jacka, Wacka aż do najmłodszej Marysi, zarząd gospodarstwem domowym i ogrodem. O wesołym, w moim odczuciu, nastroju tego domu decydował temperament stryja.

Majątek Wiszniewskich powiększony przez pokaźny obszar lasu dokupiony przez mojego Dziadka Gustawa w chwili małżeństwa stryja był dla mnie „pełnym” gospodarstwem, znacznie większym niż nasz folwark w Lusinie, imponowały mi zwłaszcza dom i budynki gospodarcze. Dwór wrząsowski, stary modrzewiowy dom, może jeszcze z XVIII w. ma dobudowane murowane skrzydło mieszczące wtedy kuchnię i inne pomieszczenia gospodarcze oraz „kancelarię” stryja. Stary dom z trawiastym gazonem i niewielkim parkiem leży na wzgórzu nad doliną rzeki Wilgi, skąd rozciąga się wspaniały widok na Kraków, Bielany i wyżynę krakowską. Ulubionym przez wszystkich punktem obserwacyjnym był swojego rodzaju bastion z potężną starą lipą, u stóp którego rozciągała się na stoku spora plantacja malin otoczona od dołu kawałkiem lasu.

Dwór wrząsowski położony na tym samym grzbiecie podkrakowskich wzgórz leży w odległości półtora kilometra od naszego folwarku w Lusinie. Można ją pokonać bez trudu na piechotę. Dzięki temu moi stryjeczni bracia, zwłaszcza Janek i Gutek, byli głównymi moimi

towarzyszami wakacyjnymi. Nasze zabawy zmieniały się, w miarę jak dorastaliśmy. Od grzebania się w olbrzymiej piaskownicy, huśtawki pod wielkimi kasztanami, poprzez penetrację obszaru całego gospodarstwa, rozpędzania wielkiego kieratu służącego kiedy indziej do napędzania młocarni i jazdy na jego dyszlach jak na karuzeli, głębiania korytarzy w grubej warstwie słomy w stodole lub na strychu nad stajnią, aż po kąpiele i pływanie w stawie rybnym poniżej dworu, do którego można było dojechać po stromych ścieżkach przydomowego lasu, leżąc na podwoziu od małego wózka zbudowanego w bliżej nieokreślonym celu.

Do wakacyjnego kompletu mniej ryzykownych zabaw należała też cioteczna siostra Janka i Gutka – Jaga (Jadwiga) Kosch, córka krakowskiego adwokata Mec. Koscha ożenionego z siostrą mojej stryjenki. Państwo Koschowie zbudowali we Wrząsowicach ładną willę, w której bywał chyba także Leon Wyczółkowski zaprzyjaźniony z tą rodziną. Zwyczajem było urządzenie przedstawienia teatralnego przez wszystkie dzieci, a potem przez wakacyjną młodzież, w dniu imienin stryjenki. Było to najczęściej odgrywanie jakiejś bajki, reżyserowane przez mieszkającą stale nauczycielkę przygotowującą moje stryjeczne rodzeństwo do egzaminów z kolejnych klas szkoły podstawowej. Największym dla nas wydarzeniem tego dnia była wieczorna strzelanina z batów w wykonaniu fernali. Baty używane do tego celu były sporządzane z postronków (sznurów używanych do mocowania uprzęży do wozów) przyczepionych do krótkich trzonków, którymi wykonywano ruchy okrężne nad głową, przy czym powstawał huk podobny do wystrzału. Sztukę strzelania z bata miałem również i ja wówczas dobrze opanowaną.

W domu wrząsowskim korzystałem często z pianina. Tam odkryłem znalezione w stosie nut ballady Chopina z ich niesłabnącym do tej pory urokiem. Mój stryj a także siostra jego Halula byli bardzo muzykalni.

Stryj grał „ze słuchu” na skrzypcach. Do tego dochodziła ciotka towarzysząca mu na pianinie lub bywający na dole w Lusinie kuzyn pp. Słapów Aleksander Słapa, późniejszy więzień obozu w Oświęcimiu, a po wojnie założyciel czynnego do tej pory, zasłużonego Wydawnictwa Literackiego. Później nawet i u nas w Lusinie został przez kogoś zmagazynowany fortepian, z którego mogłem w lecie korzystać.

Z tym pogodnym czasem naszej młodości tragicznie kontrastują wojenne losy moich stryjecznych braci: Janek zginął w obozie w Oświęcimiu, Wacek zaaresztowany pod koniec wojny zginął po obozie w Gross Rosen, Staszek po kampanii wrześniowej spędził resztę wojny w obozie wojennym w Niemczech, Gutek był bardzo aktywnie zaangażowany w lokalne działania AK. Tragiczny był także los Jagi Kosch. Przed samą wojną wyszła za mąż za Zygmunta Karłowskiego, syna znanych ziemian z poznańskiego. W czasie wojny mieszkali w Krakowie, często goszcząc w swoim mieszkaniu gen. Rostworowskiego zamianowanego komendantem AK w okręgu krakowskim. W poszukiwaniu za nim w ich mieszkaniu Gestapo urządziło tzw. kocioł, oboje zostali zaaresztowani. W czasie przesłuchań Zygmunta zakatowano na śmierć, a Jagę później rozstrzelano w kamieniołomach na Podgórzu.

## Czasy szkolne (1919 – 1923 – 1931)

Wspomnienia 2.

Moje „życie szkolne” zaczęło się z końcem 1919 roku, gdy zostałem uczniem prywatnej czteroklasowej szkoły powszechnej, utrzymywanej przez Towarzystwo Szkoły Ludowej (TSL) mieszczącej się na III piętrze oficyny budynku przy ulicy Wolskiej 19 (obecnie ul. Piłsudskiego). Szkoła zajmowała całe piętro, obszerne mieszkanie z dużymi pokojami zaadaptowanymi do potrzeb szkolnych.

Oprócz czterech pokoiów mieszczących cztery klasy, było również pomieszczenie przeznaczone na zajęcia z robót ręcznych oraz spora salka dla przedszkolaków, gdzie aplikowano nam gimnastykę rytmiczną. W tej salce pobierałem też moje pierwsze lekcje gry na fortepianie, prowadzone przez przedszkolankę p. Idę Trybulec, którą mój brat uczęszczający do tej samej szkoły określał nazwą panna Ida hau, hau, hau, co miało oznaczać jej „psi” charakter i co uważałem za wysoce niewłaściwe. Był to powód do niejednej sprzeczki pomiędzy nami. Pamiętam doskonale rozkład szkoły i nauczycielki, natomiast nie mam jakiś wyraźnych wspomnień z prowadzonych przez nie lekcji. Według relacji mojej Matki, p. Lisowska opiekunka pierwszej klasy miała do mnie pretensje, że w czasie lekcji przyrody uśiłowalem ją skorygować mówiąc, że mój Tatusz powiedział mi coś innego, szło chyba o jakieś wiadomości o pszczołach. W dalszych klasach prowadziła nas p. Różycka, przystojna brunetka, bardzo przez nas lubiana. Doprowadziła nas do czwartej klasy, lecz przed zakończeniem roku opuściła szkołę wychodząc za mąż za dyrektora jednego z banków krakowskich p. Rokosza. Jako student

i dorosły człowiek spotykałem ją niekiedy na różnych imprezach towarzyskich, zawsze w roli sympatycznej, dystygowanej damy.

Okna naszej szkoły wychodziły na tył frontowej kamienicy, wzdłuż którego biegły przez całą szerokość odkryte ganki, miejsce spacerów miejscowego oryginała, Cezara. Cezar udrapowany w białą płachtę sprawiał oczywistą dystrakcję młodzieży. Był uważany przez nas za wariata, któremu wydaje się, że jest rzymskim cezarem. Spotykając go na ulicy należało podnieść rękę i powiedzieć „Salve, Cezar!”

Spśród moich kolegów i koleżanek, dzieci przeważnie z rodzin inteligentnych, zapamiętałem tylko niewielu. Kontakty pomiędzy nami zerwały się z chwilą naszego rozejścia się do różnych gimnazjów. Wyjątkiem był Witek Goliszewski, kędzierzawy brunecik, który naukę z nami rozpoczął dopiero w trzeciej klasie. Później przeszliśmy razem całe gimnazjum i studia chemii na uniwersytecie. Dyplomy magisterskie odebraliśmy w tym samym dniu z rąk Dziekana prof. Smoleńskiego. Witek był w Warszawie w czasie powstania warszawskiego, widziano go w transporcie ewakuowanej ludności, a później wszelki ślad o nim zaginął. Widywałem po wojnie czasem jego matkę, która nie doczekała się już nigdy żadnej wieści o synu.

Wiadomości o toczącej się w 1919 i 1920 r. wojnie do nas, dzieci, dochodziły raczej słabo. Rodzice i szkoła – jak sądzę – zadbali, żeby nas nie narażać na niepotrzebny stres.

Wiadomość o rozstrzygającej bitwie o Warszawę doszła do mojej świadomości już tylko w formie wieści o „cudzie nad Wisłą”. W mojej pamięci zachował się natomiast grudniowy dzień w 1922 roku, kiedy tuż po skończeniu lekcji w jakiś sposób dowiedzieliśmy się o śmierci niedawno wybranego pierwszego Prezydenta RP Gabriela Narutowicza. Chyba wówczas zacząłem się przyzwyczajać do wchłaniania niektórych



wiadomości ze świata dorosłych nie tylko najbliższego, ale i dalszego. Z tego punktu widzenia ważne były niektóre celebracje z okazji pobytów w Krakowie ważnych osobistości. Nie pamiętam dokładnie daty, gdy do Krakowa przyjechał Józef Piłsudski, mógł to być rok 1921, gdy otrzymał doktorat honorowy UJ. Witano go bardzo serdecznie. Ustawiony przez moją Matkę na framudze parterowego okna Collegium Iuridicum przy ul. Grodzkiej mogłem zobaczyć Marszałka niesionego na rękach przez Legionistów wysoko ponad tłumem.

Innym tryumfotorem, który zawitał w tym okresie do Krakowa był marszałek Francji Ferdynand Foch, dowódca zwycięskiej armii Sprzymierzonych na froncie zachodnim. Po oficjalnym powitaniu w Barbakanie (międzywojenny zwyczaj witania znakomitych gości w tej fortyfikacji był zapewne jednym z ostatnich jej zastosowań w celach komunalnych) Foch jechał we wspaniałym lando (powóz z dwoma rozkładanymi budami i dwoma jednakowymi ławeczkami naprzeciwko siebie) w towarzystwie jakiegoś polskiego dygnitarza, obaj zasypani niemal po ramiona kwiatami rzucanymi przez publiczność stojącą na chodnikach. Przeważała zresztą wśród niej młodzież szkolna. Naszej klasie przypadło miejsce na chodniku ulicy Floriańskiej. Głowę Marszałka wystającą ponad pokrywą kwiatów ozdabiały białe wąsy i miły uśmiech, a nakrywał niebieski, generalski francuski kaszkiet o rondelkowatym kształcie. Trudno sobie dziś wyobrazić, że ówczesne siły bezpieczeństwa dopuszczały do podobnej poufałości dygnitarzy z tłumem ulicznym. Tę niezbyt szczelną barierę policyjną udało mi się ominąć znacznie później w czasie wizyty drugiego Prezydenta RP Stanisława Wojciechowskiego na Wawelu. Był powitany oczywiście w Barbakanie i przejechał uroczyście przez miasto. Ja już samodzielnie wybrałem się szukać go na Wawelu. Gdy usuwano publiczność z sąsiedztwa Ka-

tedry wawelskiej, schowałem się we wnęce kamiennej bramy w murze otaczającym kościół i dzięki temu Prezydent i jego świta schodzący po kościelnych schodach przeszli w odległości może dwóch metrów ode mnie. Był to starszy pan z kozią bródką, wyglądający dostojnie, nie cieszący się jednak w naszej rodzinie specjalną popularnością w odróżnieniu od legendarnego Komendanta Legionów. Oglądnięcie „na żywo” takich znakomitości było ogromną atrakcją w epoce przedtelewizyjnej, która aż do znudzenia pokazuje nam dzisiaj oblicza wielkich tego świata.

Znacznie większą rolę niż szkoła powszechna odegrał w moim wychowaniu okres gimnazjalny. IV Gimnazjum Humanistyczne im. Henryka Sienkiewicza mieściło się w budynku narożnym ulicy Krupniczej i Podwala. Dodatkowo zajmowało ono przyległy dwupiętrowy dom (Krupnicza 4) od niepamiętnych czasów zwany przez uczniów, a zapewne i przez nauczycieli, Hadesem.

Przyjęcie do gimnazjum było poprzedzone pisemnym egzaminem wstępnym, który obejmował jakieś wypracowanie z języka polskiego. Pisało je około czterdziestu stremowanych chłopców czekających dość długo na wynik ogłoszony w końcu przez dyrektora szkoły prof. Zawilińskiego (ongiś nauczyciela szkolnego mojego Ojca, autora potężnej gramatyki języka polskiego). Dyrektor z bardzo poważną miną powiedział na wstępie, że właściwie nikt z kandydatów egzaminu nie zdał, biorąc jednak pod uwagę, że egzamin odbywa się w uroczystym dniu wizyty króla i królowej rumuńskiej wszyscy chłopcy zostają przyjęci do jego szkoły. Powitano to oczywiście bardzo głośno.

Przez pierwsze lata zajmowaliśmy dużą salę na I piętrze Hadesu z oknami wychodzącymi na trzy strony: ulicę Krupniczą, sąsiedni dom, nieco oddalony, oraz na obszerne dziedziniec. Z tym usytuowaniem

okien łączy się wspomnienie dość dramatycznych wydarzeń z 11 listopada 1923, a więc z pierwszych miesięcy naszego pobytu w nowej szkole. Był to okres strajku generalnego i zaburzeń robotniczych koncentrujących się wokół Domu Robotniczego i Kasy Chorych mieszczących się niedaleko od nas przy ulicy Dunajewskiego. Nasza szkoła znalazła się więc blisko centrum, w którym policja i wojsko (nie wiadomo dlaczego do szarży na wyasfaltowanej i polanej wodą ulicy użyto szwadronu kawalerii) rozpraszały demonstrantów. Słychać było strzały. Pierwsze z nich padły w chwili, gdy nasz nauczyciel matematyki prof. Wiatr wychylony przez okno obserwował ulicę Krupniczą. Klasa na ich głos zareagowała śmiechem. Nauczyciel odwrócił się nagle i krzyknął: *„Wy się śmiejecie, a tam strzelają do ludzi”*. Wtedy dopiero do naszej świadomości doszło, że dzieje się coś poważnego. Młodzież trzymano w klasach, ale po mojego brata i po mnie przysłała nasza Matka. Wyszedłem z nią przez bramę Hadesu właśnie w chwili, gdy przez Krupniczą posypała się jakaś seria świszczących pocisków. Na szczęście nikomu wokół nas nic się nie stało. Zajścia stanowiły duży szok dla całego miasta i także dla dzieci. W zamieszkach zginął stryj mojego kuzyna, a zarazem ucznia tej samej klasy Bronka Bochenka, rotmistrz VIII Pułku Ułanów stacjonowanego w Krakowie, Lucjan Bochenek.

Moje gimnazjum, zwłaszcza w wyższych klasach, miało doskonałą obsadę pedagogów. Po niezbyt ciekawym nauczycielu języka polskiego i opiekunie klasy nazwiskiem Koch (mówiło się ongiś, że Koch Kochową kocha, ale Kochowa nie kocha Kocha) obowiązki jego przejął Józef Piasecki, postać przypominająca wyglądem Stanisława Wyspiańskiego, doskonały polonista, ciekawie prowadzący lekcje, trochę relikwitu okresu Młodej Polski. Potrafił pokazać, na czym polega uroda poezji Kochanowskiego i jego *„Trenów”*, ale też do głębi zanudzić analizami kolejnych

rozdziałów „Ogniem i mieczem” czytanych w kawałkach przez całe półroczne. Znacznie więcej zainteresowania budził w nas „Ród Rodriganda” Karola Maya wydawany w seriach wielu tomików czytanych pod ławką w czasie zajęć szkolnych.

W trzeciej lub czwartej klasie lekcje matematyki objął młody nauczyciel Jan Leśniak, świetny dydaktyk, lecz uchodzący za postrach młodzieży, popularnie zwany Naleśnikiem. Na lekcjach utrzymywał zawsze idealną ciszę dzięki metodzie przerywania swojego wykładu, gdy tylko zaczynały się jakieś ruchy w klasie i przepytywania przy tablicy podejrzanych o nadmierną ruchliwość. Sypały się przy tym gęsto „dwóje” (popularna nazwa noty niedostatecznej). Już później w klasie maturalnej przyznał się nam, że systemu tego nauczył go na początku szkolnej kariery inny stary nauczyciel, a owe sławne dwóje były wpisywane tylko pozornie. Po jego lekcjach nigdy nie miałem żadnych trudności z matematyką i z czasem moją specjalnością stało się douczanie moich kolegów, którzy mieli zaległości w tej dziedzinie. Po wojnie nasz nauczyciel został profesorem na UJ i wykładał matematykę dla studentów chemii. Po moim przejściu z AGH na UJ wykładaliśmy dla tych samych studentów, on matematykę, a ja chemię nieorganiczną. Warto wspomnieć, że drugi matematyk w naszym gimnazjum, Jodłowski, po wojnie był docentem w Wyższej Szkole Pedagogicznej. Uczył między innymi mojego brata. W swojej klasie uchodził za absolutnego „arbitra elegantiarum”. Nic dziwnego, że kiedyś Władek powracając ze szkoły powitał naszą Matkę słowami „*Jodłowski ma nowe ubranie!*”.

Kapitałną postacią był nasz łacinnik Rudolf Niemiec, tęgawy pan, nieco rubaszny, doskonale zorientowany także w przedmiotach ścisłych. Niektóre z jego powiedzeń wchodziły z powodzeniem w język uczniowski. „*Oślino jedna na ucho usiadłeś?*” było zwrotem kierowa-

nym do ucznia źle akcentującego czytane poezje łacińskich mistrzów. „Oszukańcze tłumaczenie” oczywiście oznaczało tzw. bryk, tłumaczenie tekstów łacińskich wydawane w cienkich broszurkach przez tajemniczą księgarnię Zuckerkandla w Złoczowie. Również i on należał do poważnych specjalistów w swojej dziedzinie. Po wojnie został jednym ze współpracowników „Słownika łaciny średniowiecznej” pomnikowego dzieła wydanego przez PAN pod kierunkiem mojego przyjaciela prof. Mariana Plezi. Nawiasem mówiąc, ojciec Mariana Jakub Plezia był również nauczycielem w naszym gimnazjum. W mojej klasie prowadził początki języka francuskiego. Przejęła je później p. Sabina Jasińska, primo voto hr. Sumińska, pani wielkiej kultury i ogromnej życzliwości dla młodzieży. Jej lekcje musiały być dobrze prowadzone, jeżeli będąc po czwartym roku studiów uniwersyteckich w czasie wycieczki do Rumunii mogłem odkryć, że potrafię się tym językiem całkiem nieźle porozumieć. Wspominam zawsze, jak w przedmaturalnej klasie czytaliśmy w ramach nadobowiązkowych zajęć u niej w domu komedię „On ne badine pas avec l’amour” Musseta.

W programie gimnazjum humanistycznego stosunkowo mało czasu poświęcano na chemię i fizykę. Pierwsza z nich pojawiła się w naszym programie właściwie tylko w II klasie, kiedy byliśmy dwunastolatkami, a później do niej wracał fizyk w VII i VIII klasie. Przedmioty te były prowadzone przez nauczycieli raczej odbiegających od ogólnego poziomu naszych pedagogów. Chemii uczył oryginał o nazwisku Titz, niski łyśawy o niestarannym wyglądzie, który z chłopcami jakoś nie bardzo umiał nawiązać kontakt. Dochodziło nawet do jakiś konfliktów, w które wdali się rodzice stawiający – jak sądzę – zarzut prowadzenia lekcji w mało zrozumiałym sposób. Na tym tle doszło do lekcji pokazowej prowadzonej w obecności przedstawicieli Komitetu Rodzicielskiego czy

innych dorosłych, „ważnych” osób. W jakimś krytycznym momencie, kiedy nieszczęsny pedagog nie mógł wydusić żadnej odpowiedzi, udało mi się wybawić go z kłopotu, rozwiązując jakieś proste zagadnienie, co nie było niczym specjalnym biorąc pod uwagę moje narastające zainteresowanie tym przedmiotem i własne eksperymenty w moim „prywatnym” laboratorium w łazience. Efektem tego wydarzenia była moja przyjaźń z Titzem, który zabierał mnie czasem do gabinetu chemicznego i fizycznego mieszczącego lekcyjne eksponaty, dla uczniów niedostępnego mającego dla mnie dostojność niemal sanktuarium. Można tam było oglądać różne preparaty chemiczne i zobaczyć prawdziwe wyposażenie laboratoryjne. Wspominam tego nauczyciela dzisiaj bardzo serdecznie.

W wyższych klasach fizyki uczył też nieszczęśliwiec, Kazimierz Fijoł, który pomijając nieszczęśliwe dla wychowawcy nazwisko był jakby stworzony jako model nauczyciela, by mu uczniowie rąbali kołki na głowie. Wysoki, z grubymi palcami niezbyt nadawał się na eksperymentatora i pokazy często mu się nie udawały. W dręczeniu tego biedaka specjalizowała się znacznie młodsza od nas klasa Jurka Komorowskiego, mojego ciotecznego brata. Byłem już na uniwersytecie, kiedy po pogrzebie jednego z naszych gimnazjalnych nauczycieli na Cmentarzu Rakowickim wracając do domu spotkałem na ulicy Szpitalnej Jurka, który poprosił mnie, by chwilę z nim zaczekać, bo zaraz nadejdzie Fijoł niestety już trochę rozdrażniony i potrzebna jest neutralna ochrona. Okazało się, że Jurek i jego koledzy odprowadzali swojego nauczyciela w ten sposób, że ustawiali się na chodniku co dwadzieścia czy trzydzieści metrów i kłaniali mu się, zmuszając biednego pedagoga do uchylecia kapelusza. Uczeń, który już się uklonił, przechodził na drugą stronę ulicy, wracał i znowu ustawiał się na drodze profesora. W ten sposób doprowadzili go od cmentarza pod teatr Słowackiego, korzystając z za-

padającej ciemności jesiennego wieczoru. Dopiero tutaj nieszczęsny nauczyciel zaczął się orientować w zabawie swoich wychowanków.

W ostatnich dwóch klasach język polski prowadził ksiądz Władysław Macheta, spokojny i opanowany, niezwykle systematyczny. Był on również opiekunem naszej klasy wstawiającym się za swoimi wychowankami u innych nauczycieli. Od niepamiętnych czasów przyłgnęła do niego nazwa „trup”, na którą na pewno nie zasługiwał. Miał dość charakterystyczny kształt twarzy i mój brat rysował niemal z zamkniętymi oczami jego karykatury. Przygotował swoją klasę niezwykle starannie do matury z języka i literatury polskiej, przedmiotu obowiązkowego dla wszystkich uczniów. Pamiętam, jak w bibliotece szkolnej prowadzonej przez niego przepytywał uczniów i notował pytania, tak że właściwie nikt nie był zaskoczony w chwili wielkiego zdenerwowania. Temperamentem górował nad nim nasz katecheta ks. Józef Rychlicki, postać nadająca ton całej szkole, znany z licznych umoralniających przykładów powtarzanych we wszystkich klasach. Nic też dziwnego, że jeszcze w wiele lat po opuszczeniu szkoły wychowankowie IV Gimnazjum nawet pochodzący z różnych roczników wspominając szkołę zawsze dochodzili do żelaznego tematu „Rychla”. Najbardziej znane było opowiadanie o uczniu, który nie słuchał wskazówek katechety i stoczył się w drabinie społecznej tak, że *„wiecie czym został?..... policjantem w Trieście”*. Historia była nieco anachroniczna, gdyż Triest wiązał się z Krakowem tylko przez przynależność do Cesarstwa Austro-Węgierskiego. Wspominaliśmy go jednak zawsze jako doskonałego wychowawcę, który miał istotny udział w przeprowadzeniu chłopców przez trudny okres pokwitania, okres z którym ma tyle kłopotu obecne trzyletnie gimnazjum.

## Koledzy w gimnazjum

Moi koledzy w gimnazjum pochodzili przeważnie z rodzin inteligentnych: profesorskich i nauczycielskich (Kolankowski, Żelewski, Siedlecki, Rouppert–Kukliński, Babulski), ziemiańskich (Chrząszcz, Targowski), ale także rzemieślniczych (Biermanski, Niemczyk). Mało nas wreszcie obchodziły te sprawy w owym czasie. Byliśmy przez całe osiem lat dobrze zgranym zespołem, w którym co najmniej połowa przetrwała od pierwszej do ósmej klasy. Jako dorośli ludzie po wojnie spotykaliśmy się najczęściej co cztery lata na „zjazdach” maturalnych, a w latach pięćdziesiątych krakowscy koledzy w kawiarni co miesiąc. Uczestnicy tych spotkań zaczęli stopniowo znikać, a dzisiaj oprócz mnie żyje jeszcze tylko Jurek Senowski, syn aktora, który – o ile wiem – grał rolę pana młodego w pierwszych przedstawieniach „Wesela” Wyspiańskiego.

Przez szereg lat moim najbliższym sąsiadem na czteroosobowej ławce był Włodzio Alber, często korzystający z moich pedagogicznych talentów w zakresie matematyki. Włodzio przyjeżdżał na Jaskółczą na rowerze, z którego mogłem korzystać trenując jazdę na naszej uliczce. Nie pamiętam jednak bym kiedykolwiek wyjechał na tym przyrządzie dalej. Nie bardzo rozumiem, dlaczego nigdy takiego welocypedu sobie nie kupiłem. Być może już wtedy zacząłem nabierać zamiłowania do długich pieszych spacerów i wycieczek. Włodzio zaopatrzył mnie w pierwszy w moim życiu aparat radiowy „z kryształkiem”. Zawierał on prymitywny obwód z cewką, „kryształkiem” (ziarnem zapewne galeny ołowiowej) i słuchawką na uszy. Ów kryształek był osadzony w uchwycie i włączany w obwód za pośrednictwem sprężynki z cienkiego drucika dotykającego jego powierzchni. Sygnał można było odebrać dopiero po właściwym ułożeniu sprężynki. Słuchało się na tym nieźle stacji lokalnych. Aparat lampowy, cud techniki lat dwudziestych, odbierający da-



lekie stacje zagraniczne pojawił się najpierw w rodzinie Komorowskich. Włodzio po maturze studiował chemię na niższych ode mnie rocznikach i bezpośrednio przed wojną był asystentem w Katedrze Mineralogii UJ. Jego losy wojenne były warte opisania. Razem ze swoim oddziałem wojskowym dostał się na Węgry, gdzie jakiś czas spełniał funkcję łącznika w internowanych oddziałach polskiego wojska, a następnie był nauczycielem chemii i fizyki w polskiej szkole nad jeziorem Balaton. W 1943 został aresztowany przez Gestapo i osadzony w obozie koncentracyjnym w Mauthausen. Po wojnie pracował w krakowskim Urzędzie Probierczym, a potem przez wiele lat był sprawnym dyrektorem wytwórni materiałów papierniczych.

Następne miejsce w naszej ławce zajmował Bronek Bochenek, mój kuzyn. Jego matka z domu Ranwid była wnuczką Noelówniej z Sosolówki. Po maturze Bronek studiował mechanikę na Politechnice Lwowskiej. Po wejściu Rosjan do Wschodniej Małopolski i Lwowa okazało się, że był on już wcześniej powiązany z KPP (Komunistyczna Partia Polski). Bezpośrednio po wojnie był pełnomocnikiem ówczesnego rządu przygotowującym administrację i zasiedlenie Dolnego Śląska, a następnie – o ile się orientuję – pracował w Instytucie Lotnictwa i wylądował jako profesor na Wydziale Mechanicznym Politechniki Warszawskiej, jako osoba dobrze usytuowana w polityce. W tym czasie spotkałem go w Warszawie. Mam dla niego wdzięczność, gdyż w 1948 r. pomógł mi w uzyskaniu paszportu na wyjazd do Anglii na stypendium British Council.

Sąsiadem Bronka był Adam Sokołowski przysły docent Akademii Medycznej i znany krakowski laryngolog.

W ostatniej ławce, tuż za naszą, miał miejsce Romek Żelewski, a właściwie Bach-Żelewski „wójt” klasy, kolega z którym chyba się najbliżej przyjaźniłem, zamiłowany historyk i oddany kibic „Cracovii”. Każ-

dą przegraną tego klubu Romek przeżywał tak głęboko, że następnego dnia nie zjawiał się w szkole. Rodzina Romka pochodziła z pomorskiej szlachty Żelewskich herbu Bach. Część jej, jak linia Romka, pozostała Polakami, część uległa germanizacji i do niej należał generał Bach – Żelewski dowódca oddziałów niemieckich oblegających Warszawę w czasie Powstania Warszawskiego w 1944 r. Po maturze Romek skończył prawo na UJ i pracował jako urzędnik w Krakowie i Poznaniu. W 1939 r. roku brał udział w walkach grupy partyzanckiej pod Warszawą. Po jej rozbięciu został skazany jako partyzant na śmierć. Uniknął jej tylko dzięki ucieczce. Brał udział w pracy konspiracyjnej w Krakowie. Po wojnie prowadził z żoną kram z jarzynami i studiował historię, aż w końcu znalazł zajęcie właściwe dla historyka, nie zmuszające do akceptowania nauki marksistowskiej, a mianowicie pracę w redakcji Polskiego Słownika Biograficznego, gigantycznego wydawnictwa zapoczątkowanego przed wojną przez PAU i kontynuowanego po wojnie przez PAN.

W szkole i w późniejszych latach przyjaźniłem się z Zygmuntem Kolankowskim synem znanego historyka Ludwika Kolankowskiego, profesora Uniwersytetu Wileńskiego, a po wojnie pierwszego rektora Uniwersytetu w Toruniu. Zygmunt, też humanista, skończył studia prawnicze. Dość wcześnie dostał się do obozu koncentracyjnego w Auschwitz, gdzie spędził prawie pięć lat. Wkrótce po wojnie pracował w Paryżu w ambasadzie Polskiej jako attache kulturalny, później jako tytułarny profesor był dyrektorem archiwum Polskiej Akademii Nauk w Warszawie.

Synem profesorskim był także Staszek Siedlecki, który do naszej klasy dostał się dopiero na ostatnim roku jako jedna z ofiar „rzezi maturalnej” w starszej od nas klasie. Jeszcze jako student wziął udział w pierwszej polskiej wyprawie arktycznej na Wyspę Niedźwiedzią, co było początkiem jego wielkiej kariery polarnika. Wsławił się udziałem w pionier-

skim trawersowaniu całej wyspy z południa na północ około 850 km. W latach 60-tych osiadł w Norwegii jako profesor w Norweskim Instytucie Geologicznym w Trondheim. Jego ojca Michała Siedleckiego, zoologa i biologa morza, zapamiętałem jako niezmiernie sympatycznego, starszego pana z długą, dobrze wypielegnowaną brodą, w szalenie interesujący sposób opowiadającego o swoich wyprawach na Jawę i południowe morza. Był jednym z profesorów naszego uniwersytetu zaaresztowanych przez Niemców w listopadzie 1939 r. Zmarł następnego roku jako więzień obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen.

Trudno nie wspomnieć Władzia Biermańskiego, mieszkańca domu przy ulicy Zaścianek położonej na stoku wzgórza Św. Bronisławy, z którym często wracaliśmy razem ze szkoły. Władzio, syn krawca, skończył polonistykę na UJ i rozpoczął ciekawą pracę w Instytucie Bałtyckim w Gdyni jako kierownik działu wydawniczego. W 1939 r. po wejściu Niemców był aresztowany, ale udało mu się wymknąć do Generalnego Gubernatorstwa, gdzie prowadził sklep w Jordanowie i brał udział w tajnym nauczaniu. Ostatecznie osiadł w Mszanie Dolnej. Po wojnie był tam jednym z organizatorów prywatnego gimnazjum i nauczycielem. Bywał w Krakowie i pojawiał się czasem na Jaskółczej. Miał żyłkę kolekcjonera i doszedł do zbioru monet z XX wieku, w którym odbijała się urozmaicona historia naszych czasów.

Do kolegów, z którymi się dość blisko trzymałem, należał Zbyszek Jaglarz, jeden z wybijających się uczniów, hutnik po AGH, specjalista w zakresie walcownictwa, ale w okresie okupacji pracujący w Ostrowcu jako woźnica. Później po szeregu latach działania w przemyśle został wykładowcą i profesorem na AGH. Wojtek Niemczyk po ojcu odziedziczył fach i zakład rytowniczy w pięknym lokalu w Sukiennicach „od strony Mickiewicza”, który nie mógł przetrwać w socjalistycznym kraju.

Pracował w ostatnich latach w przedsiębiorstwie budowlanym (oczywiście nie prywatnym) w Katowicach mieszkając w Krzeszowicach. Bolek Lechowski, zwany Bolciem z Bydgoszczy, skąd w połowie lat gimnazjalnych przeniosła się jego rodzina, pracował jako radca prawny Krakowie, człowiek o przemiłym, łagodnym, charakterze. Warto też wspomnieć o Ignacym Kleszczyńskim, który po ukończeniu prawa i doktoracie zaczął robić karierę dziennikarską w Ilustrowanym Kurierze Codziennym (popularnym Ikacu), wydawanym w Krakowie przez największy polski koncern wydawniczy stanowiący własność Mariana Dąbrowskiego. Losów wojennych Ignaca nie udało się nam wyśledzić. Podobno na emigracji znalazł się w Południowej Ameryce.

Za najlepszego matematyka w naszej klasie uchodził Józek Wołek. O ile wiem, skończył on matematykę. Mieszkał w Gdańsku i po październiku 1956 wypłynął jako wojewoda gdański. Kontakt z nim był jednak słaby.

Losy moich kolegów, jak z tego wynika, były bardzo różnorakie. Kiedy w czerwcu 1946r spotkaliśmy się na pierwszym zjeździe maturzystów, spośród 47 kolegów przybyło tylko 30. Zachował się jednak spis wszystkich z zebranymi informacjami o ich losach wojennych i powojennych. Straty okazały się znaczne. Dwóch spośród nich nie dożyło 1939 roku, jeden popełnił samobójstwo, drugi zginął w wypadku samochodowym, pięciu zginęło lub zaginęło bez wieści w czasie wojny, czterech pozostało zagranicą. Jedenastu uczestniczyło w kampanii wrześniowej lub w konspiracji. Nasze więzy koleżeńskie okazały się bardzo silne. To pierwsze powojenne spotkanie nie było bynajmniej ostatnie. Spotykaliśmy się później w odstępach pięcioletnich. W 1981 roku w 50-ciolecie matury stopniała już resztką zebrała się także u nas na Jaskółczej. W następnych latach pozostali jeszcze w Krakowie koledzy spotykali się

raz w miesiącu w kawiarni. Może zbyt długie jest wspomnianie moich kolegów. Myślę jednak, że warto jest pokazać, jak bardzo okres wojny i socjalizmu splątał życie i wszelkie młodzieńcze plany, a mimo wszelkich trudności ludzie budowali sobie nowe życie bardzo odmienne od oczekiwań, a jednak warte przeżycia.

Matura kończy okres mojej młodości jeszcze nie dojrzałej. Mój egzamin maturalny przypadł na dzień 18 maja 1931 r.

Po egzaminie pisemnym z matematyki byłem już zwolniony z odpowiedzi z innych przedmiotów. Pozostał mi już tylko jeden egzamin ustny obowiązkowy, z języka polskiego, do którego byłem dobrze przygotowany przez naszego polonistę ks. Władysława Machetę.

Powrót do domu w glorii zdanej matury został jednak bardzo zakłócony wiadomością o nagłej śmierci mojego stryja Jana we Wrząsowicach. Poprzedniego wieczoru miał on ostry „atak sercowy”, według obecnej terminologii zawał serca, i zmarł w dniu mojej matury następnego dnia, pozostawiając nieco bezradną żonę, ciotkę Anulę (z domu Wiszniewską) formalną właścicielkę Wrząsowic, oraz gromadkę dzieci: Janka, mojego rówieśnika, Gutka, Staszka, Jacka i Wacka oraz Marysię. Janek skończył później studia farmaceutyczne i pracował w rodzinnej aptece Wiszniewskich przy ul. Floriańskiej w Krakowie. Już w pierwszych miesiącach wojny został aresztowany przez Gestapo, wysłany do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu (Auschwitz), skąd już nie powrócił. Gutek po wojnie z wielkim trudem gospodarował we Wrząsowicach. Staszek spędził okres wojenny w obozie jenieckim w Niemczech. Po wojnie mieszkał we Wrząsowicach, ale nie dopisywało mu zdrowie i po kilku latach zmarł. Jacek po wojnie skończył studia na Akademii Ekonomicznej w Krakowie. Szczególne wspomnienie należy się Wackowi, chłopcu o niezwyklej dobroci i zamiłowaniu do ogrodnictwa. Został on również aresztowany

przez Gestapo, prawdopodobnie za przechowywanie radiodbiornika w ulu na pszczoły. Z niewoli już nie wrócił i nie wiadomo nic o jego dalszych losach. Nieszczęśliwą osobą była moja stryjeczna siostra Marysia. Była ona ofiarą wielokrotnych złamań kości w nogach spowodowanych ustrojową zmianą twardości szkieletu kostnego. Pomimo że jej możliwości poruszania się po licznych operacjach były bardzo ograniczone, przeżyła ona swoich braci i zmarła dopiero w latach 1980-tych.

Wrzesień 1931 to okres wpisów na Uniwersytet Jagielloński. Od samego początku byłem zdecydowany na podjęcie studiów chemicznych, ale trudność leżała w wyborze przedmiotów spisanych bez żadnych objaśnień w broszurze wydanej przez uniwersytet. Nie wiedząc jakie przedmioty z zakresu geologii student chemii ma wpisać do indeksu, zebrałem się na odwagę i zadzwoniłem do zamkniętych drzwi Katedry Mineralogii mieszczącej się podówczas w Collegium Minus przy ul Gołębiej. Otworzył je młody asystent, który pokazał mi szczegółowo, jak powinien wyglądać wpis do indeksu. Był to późniejszy profesor mineralogii Antoni Gaweł; zachowałem go we wdzięcznej pamięci.

Samo wejście w świat studencki, a zarazem świat młodzieży inteligentnej, ułatwiał mi mój brat, który po maturze odbył roczną ochotniczą służbę wojskową w Podchorążówce Artylerii konnej we Włodzimierzu Wołyńskim i rozpoczynał drugi rok studiów na Wydziale Rolnym UJ. Już wcześniej poznałem jego kolegę Krzysia Tyszkiewicza i koleżankę pełną temperamentu Basię Rechowicz, przyszlą żonę tego ostatniego i matkę znanej aktorki filmowej Beaty Tyszkiewicz.

Studencka młodzież ziemiańska gromadziła się w tym czasie w korporacji „Corolla”, nadającej ton życiu towarzyskiemu Krakowa. Przez pewien czas byłem członkiem tej korporacji. Później z niej wystąpiłem, wydawała mi się zbyt elitarna i mało demokratyczna.

Studia chemii na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego za moich czasów odbywały się według programu niezbyt wyraźnie określonego w systemie studiów magisterskich wprowadzonych w połowie lat 1920-tych. Dla uzyskania dyplomu magistra było konieczne złożenie 8 egzaminów tzw. magisterskich; dla przyrodników z: matematyki, mineralogii, fizyki, chemii nieorganicznej, chemii organicznej, chemii fizycznej, technologii chemicznej oraz filozofii. Kolejność tych egzaminów nie była wyraźnie określona. Konieczne jednak było uzyskanie na samym początku pozytywnego wyniku egzaminu z matematyki. Warunkiem przystąpienia do egzaminu było zaliczenie odpowiedniej pracowni.

Na pierwszym roku słuchaliśmy wykładu chemii nieorganicznej profesora Tadeusza Estreichera. Wykład był ciekawy, nawiązujący do historii chemii bogato ilustrowany pokazowymi doświadczeniami, prowadzony w budynku przy ul. Olszewskiego. W budynku tym mieszkał profesor Karol Olszewski znany ze swych prac nad skropleniem powietrza. W swoim mieszkaniu podobno umarł samotnie w marcu 1915 r., w chwili gdy Rosjanie byli blisko Krakowa po rozpoczęciu I Wojny Światowej. W latach 1930-tych pozostała po nim sława i płaskorzeźba na ścianie obok wejścia. Tradycja nakazywała studentom, by przed egzaminem z chemii nieorganicznej umieścić mały datek pieniężny w ręce wystającej z portretu. Miało to zapewnić pomyślny wynik egzaminu, ale korzyść finansową z tego zwyczaju czerpał nasz portier. Płaskorzeźba Olszewskiego przeniesiona ze starego budynku jest obecnie wmurowana w ścianę holu budynku naszego Wydziału przy ul. Ingardena i zapewne powędruje do nowego gmachu Wydziału Chemii na Kampusie UJ na Ruczaju.

Profesor Tadeusz Estreicher był synem Karola Estreichera, zasłużonego dyrektora Biblioteki Jagiellońskiej. Karierę naukową rozpoczął



pod kierunkiem Karola Olszewskiego, później objął stanowisko profesora chemii nieorganicznej we Fryburgu w Szwajcarii. Katedrę na UJ objął w 1919 r. po powrocie do kraju. W czasie wojny i okupacji niemieckiej był więziony od 6 XI 1939 do 8 II 1940 r. razem z innymi profesorami UJ w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen, gdzie zmarł jego brat prof. Stanisław Estreicher, historyk prawa, Rektor UJ.

Tadeusz Estreicher był niskiego wzrostu, uczesany z „przedziałkiem” przesuwającym się ze środka głowy niekiedy na jej bok, co studenci uważali za objaw złego humoru profesora. Stąd też pochodził termin „złośliwy Przedziałek”.

Egzamin z chemii nieorganicznej odbywał się zazwyczaj późnym popołudniem: zdawało go równocześnie kilka osób siedzących w jednym rzędzie. Właściwe pytanie dostawała osoba siedząca na pierwszym miejscu, następne osoby odgrywały rolę pomocniczą uzupełniając braki pierwszej z egzaminowanych. W przypadku mojego egzaminu znalazłem się na końcu łańcucha. Po 2 lub 3 godzinach profesor postanowił zakończyć egzamin i wpisać do indeksu noty także tym, którzy nie mieli w ogóle własnych pytań. Groziła mi nota dostateczna lub co najwyżej dobra praktycznie bez egzaminu. W tej sytuacji powiedziałem profesorowi, że miałem dotąd wszystkie obowiązujące kolokwia z chemii nieorganicznej i analityczne złożone z wynikiem bardzo dobrym i że bardzo go proszę o wyznaczenie mi jeszcze jednego terminu. Stało się na tym, że zgłoszę się jeszcze raz za tydzień lub 10 dni. Cały ten czas poświęciłem na powtórkę chemii nieorganicznej, lecz po kilku dniach uległem załamaniu i poszedłem do profesora z prośbą o oddanie mi indeksu. Ku mojemu zdziwieniu znalazłem w nim już wpisaną notę bardzo dobrą.

Zapewne ani on ani ja nie przypuszczaliśmy, że kiedyś stanę się jego następcą na tej samej Katedrze, a profesor Estreicher zostanie w cza-

sie wojny moim formalnym promotorem w przewodzie doktorskim. Ta ostatnia sprawa wymaga też odnotowania. Tuż przed wakacjami 1939 r. mój szef prof. Skąpski uznał, że moje wyniki dotyczące oznaczeń wtrąceń krzemianowych w stali nadają się do rozwinięcia w pracy doktorskiej. Akademia Górnicza nie miała jednak wówczas prawa do nadawania stopni doktorskich w zakresie chemii i przewody doktorskie w tej dziedzinie chemicy pracujący na AGH musieli otwierać na Uniwersytecie Jagiellońskim. Prof. Skąpski wybrał się przeto do Estreichera i uzgodnił z nim, że proponowany temat może być przez niego przyjęty na UJ. W dwa miesiące później wybuchła wojna, a obydwie uczelnie, Uniwersytet i AGH, przestały w ogóle funkcjonować. Skąpski zawieruszył się gdzieś w Świecie, a prof. Estreicher przeszedł przez niemiecki obóz koncentracyjny.

Wyraźną trudność w studiowaniu chemii stanowił w okresie mojej młodości brak podręczników. Jakimś trafem udało mi się kupić w księgarni Gebethnera i Wolffa położonej w Rynku na przeciwko Wieży Ratuszowej polskie wydanie chemii nieorganicznej Hollemana, redagowanej obecnie przez Wiberga przy pomocy specjalistów różnych działów chemii nieorganicznej. Stanowi ona zapewne najlepszy podręcznik chemii nieorganicznej. Często do niego zaglądam i dzisiaj. Znacznie gorzej przedstawiała się sprawa podręczników do chemii fizycznej. W latach 20-tych kilka tomów opartych o swoje wykłady wydał w Warszawie prof. Wojciech Świątosławski. Główny nacisk w tym podręczniku położony był jednak na termochemię. Pomimo pięknie napisanego tekstu podręcznik ten nie dawał czytelnikowi informacji o innych działach chemii fizycznej. W okresie moich studiów i słuchania wykładów prof. Bogdana Kamińskiego, który po kilku latach spędzonych we Lwowie

jako profesor Politechniki Lwowskiej objął na UJ Katedrę Chemii Fizycznej i Elektrochemii wakuującą po śmierci prof. Szyszkowskiego. W tym okresie zapobiegliwi studenci sprowadzili do Krakowa skrypty z lwowskich wykładów Kamieńskiego spisane przez anonimowych studentów. Ich nie podpisany autor niewątpliwie sam nie wiele rozumiał i skrypty te nie powinny się były znaleźć się w rękach krakowskich studentów. Myśl o termodynamice w nich przedstawiona napędza mnie jeszcze i teraz horrorem. Naprostowanie moich poglądów w tej dziedzinie zawdzięczam świetnej termodynamice angielskiej napisanej przez autora o nazwisku Butler. Wiele wiadomości docierało do nas w postaci „Chemii ogólnej” napisanej przez Brunera i Tołłoczkę. Ta ostatnia książka była po wojnie kilkakrotnie wznawiana pod redakcją prof. Wiktora Kemuli, który w istocie stał się jej trzecim autorem.

W księgarni niemieckiej pojawiła się w tym okresie „Chemia fizyczna” autorstwa Eggerta. Doskonale nadająca się jako podręcznik akademicki. Mam jeszcze dotąd jeden jej egzemplarz zakupiony przez Marka Sobieskiego, który otrzymałem niedawno od jego córki. Marek był moim kolegą ze studiów, a także z pracy w zespole prof. Skąpskiego. Został on rozstrzelany przez Niemców po umieszczeniu jego nazwiska na liście zakładników ogłaszanej przez okupantów w postaci żółtych afiszy, rozklejanych w całym mieście. Historia Marka to też jeden z tragicznych epizodów okresu wojennego. Marek ożenił się z siostrą Pani Jadwigi Skąpskiej, żony naszego profesora Adama Skąpskiego. W chwili aresztowania Marka oczekiwano na przyście na świat potomka młodej pary. Ich córka Marysia urodziła się już po jego aresztowaniu i swojego ojca nigdy nie znała.

Dla wszystkich studentów Wydziału Filozoficznego obowiązkowy był egzamin z elementów filozofii. Nie wiem, czy ktokolwiek wygłaszał wy-

kład filozofii dostosowany do potrzeb studentów kierunków przyrodniczych. Do egzaminu przygotowaliśmy się czytając bardzo ciekawy „Wstęp do filozofii” wydany jeszcze przed pierwszą wojną światową, a napisany przez autora o nazwisku Jeruzalem. Egzamin z tego przedmiotu prowadził prof. Heinrich, który, zdaniem naszych koleżanek wyraźnie miał preferować studentki ubrane w kolorze niebieskim.

Po wielu latach, w czasie gdy na AGH wprowadzono obowiązek dla promotorów asystowania przy egzaminie z filozofii, poznałem przy okazji takiego egzaminu prof. Romana Ingardena. Pierwsze pytanie, jakie otrzymała doktorantka p. Ewa Polackowa, dotyczyło poglądów Emanuela Kanta. Zanim egzaminowana zdążyła wykazać się wiadomościami z tego zakresu profesor rozwinął myśl tego filozofa w sposób tak sugestywny, że byłem przekonany, iż jest on zapalonym kantystą. Następne pytanie dotyczyło krytyki opisanych przed chwilą poglądów, również i wtedy profesor skrytykował filozofa z Królewca tak dokładnie, jak zrobiłby to któryś z zapalonych przeciwników Kanta.

Można tu wspomnieć, że ojciec Romana Ingardena był w Cesarsko-Królewskim Namiestnictwie Galicji szefem całej gospodarki wodnej w tej części austrowęgierskiej monarchii i siłą rzeczy zwierzchnikiem mojego Ojca.

Z tej racji prof. Roman Ingarden wykazywał i w późniejszych latach zainteresowanie gospodarką wodną w Polsce. Pamiętam, jak kiedyś wieczorem prof. Ingarden zaszedł do mojego Ojca, żeby się dowiedzieć, jak przedstawiają się aktualnie sprawy wodne w naszym kraju. Ingarden był wybitną postacią w polskiej filozofii. Jako młody człowiek pracował w Getyndze pod kierunkiem Heideggera, twórcy metody fenomenologicznej w filozofii. W tym czasie koleżanką Ingardena była Gertruda Stein, żydówka, która przyjęła chrzest i wstąpiła do klasztoru Benedyktynek.

Razem z innymi zakonnikami była aresztowana i pomimo możliwości ucieczki dobrowolnie znalazła się w obozie koncentracyjnym, gdzie poniosła śmierć męczeńską. Jako męczennica była beatyfikowana przez Papieża Jana Pawła II.

Wracając do moich studiów na I roku chemii muszę wspomnieć doskonały wykład z matematyki dla przyrodników prowadzony przez dr Stanisława Gołęba. Matematyka była przedmiotem pierwszego z ośmiu obowiązkowych „magisterskich” egzaminów. Pragnąc skontrolować moje wiadomości z tego przedmiotu zgłosiłem się do naszego wykładowcy z prośbą o przeegzaminowanie mnie z rachunku różniczkowego i całkowego. Minęło kilka lat i rozpocząłem już pracę w Zakładzie Chemii Fizycznej AGH, gdy w windzie spotkałem już nie doktora lecz profesora AGH Gołęba i powiedziałem mu, że ongiś z satysfakcją słuchałem jego wykładów na UJ. Gołąb pomyślał chwilę i wydobyl ze swojej znakomitej pamięci moje nazwisko. Spotykałem go często również w okresie powojennym, kiedy był tępiony przez PZPR, a wreszcie na Wydziale Filozoficznym UJ, dokąd się przeniósł, zapewne pragnąc się pozbyć ustawicznej nagonki politycznej. Zachowałem go w pamięci jako człowieka o wybitnej inteligencji, znakomitym poczuciu humoru i dużej odwadze cywilnej.

Wykład mineralogii dla studentów chemii prowadził prof. Stefan Kreutz znakomity specjalista, ale mniej doskonały wykładowca. Miałem zawsze wrażenie, że mówiąc o jednej sprawie nie potrafił się uchronić przed ustawicznymi dygresjami, co powodowało oczywisty zamęt w głowie słuchaczy. Do egzaminu z krystalografii przygotowaliśmy się studiując jego dobrze napisany artykuł w serii „Nauka dla wszystkich” wydawanej przez Warszawskie Towarzystwo Naukowe. Do podobnego ujęcia symetrii doszedłem wiele lat później, studiując teorię

grup w zastosowaniu do chemii. Równolegle z wykładem z mineralogii odrabialiśmy ćwiczenia z krystalografii ograniczone głównie do posługiwania się diagramami Wulfa, co było bardzo nudne.

Pracownię chemii analitycznej jakościowej (odrabianą na II roku studiów) prowadzili asystenci dr Dzieścielewski i dr Mních. Ten ostatni zginął w więzieniu niemieckim. Był wymieniony na liście zakładników jako osoba już „ukarana” śmiercią. Na pracowni chemii analizy jakościowej przerabialiśmy analizę płynów „pojedynczych” to jest zawierających tylko jeden kation oraz płynów „złożonych”, zawierających kilka różnych kationów. Była to znakomita szkoła obserwacji i rozdzielania kationów w badanym roztworze. Rozwiązywanie takich zadań jest pierwszym problemem badawczym, który student musi rozwiązać samodzielnie opierając się na obserwacji. W obecnych programach studiów po wprowadzeniu licznych metod instrumentalnych analiza jakościowa została w pewnej mierze usunięta ze studiów chemicznych z wyraźną szkodą dla studentów. Znajomość metod rozdzielania metali praktykowana w analizie jakościowej była podstawą wyodrębnienia przez Marię Skłodowską zarówno polonu jak i radu.

Dobrze była postawiona pracownia chemii organicznej, w której znalazłem się pod opieką dr Jadwigi Schoenównej. Student pobierał u laboranta p. Czesława odczynniki potrzebne dla swojej syntezy wskazanej przez asystenta, wykonywał syntezę i kontrolował jej wynik oznaczając temperaturę topnienia otrzymanego związku. Gotowy preparat oddawało się laborantowi.

Wykład chemii organicznej prowadził prof. Karol Dziewoński, który karierę ściśle naukową poprzedził pracą w przemyśle, gdzie zyskał sobie opinię wybitnego specjalisty w zakresie syntezy barwników używanych w przemyśle tekstylnym. Z jego szkoły wyszli między innymi

Jerzy Suszko, profesor chemii organicznej w Poznaniu, dr Gomółka późniejszy dyrektor przemysłowego Instytutu Chemii Organicznej w Warszawie, a także dr Dymek, profesor Akademii Ekonomicznej w Krakowie, czynny w nauczaniu młodzieży chemii w okresie powojennym oraz Jan Moszew, późniejszy profesor UJ.

Wykład Dziewońskiego był dość szczegółowy. Student wchodzący do sali wykładowej zastawał w niej olbrzymią czarną tablicę zapisaną białą kredą wzorami połączeń organicznych i ich reakcjami omawianymi przez profesora w ciągu wykładu. Muszę przyznać że ten wykład nigdy mnie nie porywał.

Fizykę dla kierunków przyrodniczych wykładał prof. Konstanty Zakrzewski w dużej sali amfiteatralnej. Odnosiłem wówczas wrażenie, że mówił on raczej do okna po lewej stronie katedry niż do studentów. Niestety w owym czasie nie doceniałem jeszcze roli fizyki w wykształceniu chemika. Profesora Zakrzewskiego poznałem dopiero w czasie egzaminu (rygorosum) doktorskiego z fizyki. Zdawanego w okresie wojennym.

Do liczby egzaminów obowiązujących na studiach magisterskich należał także egzamin z technologii chemicznej, przedmiotu wkladanego przez nauczyciela zawodowej szkoły chemicznej (technikum) inż. Chobota. Ów „wykład” polegał właściwie na dyktowaniu tekstu przygotowanego przez wykładowcę. Było to być może konieczne ze względu na brak jakiegokolwiek podręcznika, dla studenta miało jednak charakter przeraźliwie nudny. Zupełnie nie pamiętam, jak z tego egzaminu wybrnąłem. Miałem jakąś starą książkę o przemyśle chemicznym, z której na pewno się niczego o inżynierii chemicznej nie dowiedziałem.

Fizykę współczesną studenci poznawali głównie w ramach wykładów jako odkrycie izotopu wodoru (deuteru) oraz odkrycie neutronów. O fizyce atomu i cząsteczki dowiadaliśmy się głównie z przekładu

doskonałej książki rosyjskiej Chwolsona. Mam ją do tej pory wśród moich książek i odnoszę się do niej nadal z należnym sentymentem.

Fizyczne podstawy chemii były jednak ogólnie rzecz biorąc przez naszych wykładowców niedoceniane. Wiele wiadomości z zakresu struktury związków chemicznych i natury wiązań chemicznych zdobyłem dopiero przygotowując się do rygorosum z chemii nieorganicznej w oparciu o nowe niemieckie wydanie zmodernizowanego podręcznika Hollemana, który wówczas ukazał się przy udziale Wiberga jako współautora.

Trudno nie przyznać, że większość mojej wiedzy chemicznej nabyłem już po studiach, a zwłaszcza przygotowując wykłady na różnym stopniu. Warto jednak było w tym dawnym okresie śledzić postępy atomistyki i fizyki jądrowej. Był to bowiem czas ważnych odkryć, takich jak wykrycie izotopu wodoru, deuteru oraz wykrycie neutronu. Ciężkim wodorem zainteresował się prof. Kamieński i jeden z moich kolegów otrzymał jako temat pracy magisterskiej wzbogacanie wody w  $D_2O$ , tzw. ciężką wodę, na drodze elektrolizy zwykłej wody. Profesor był niewątpliwie nastawiony na wprowadzanie różnych nowinek. Kiedy zdawałem u niego kolokwium kończące pracownię chemii fizycznej zmienił, temat naszej rozmowy na opowiadanie o herapatycie, jodosiarczanie chininy, tworzącej dwójłomne kryształy, budzącej nadzieje na otrzymanie nowego typu polaryzatora światła. Zaproponował mi wówczas zajęcie się tą substancją jako temat pracy dyplomowej, dając do przeczytania francuską monografię o spektrochemii.

Dość szybko okazało się, że chinina łatwo ulega działaniu jodu w roztworze wodnym, dając małe kryształy wygaszające światło po skrzyżowaniu ich na szkiełku podstawowym. Problem leżał więc w otrzymaniu większych kryształów.



Za mało miałem wówczas doświadczenia, by to zrealizować. Profesor Kamieński kilkakrotnie wspominał, że ma pomysł, jak to samemu wykonać, polecił mi nawet przygotować potrzebne odczynniki. Mnie tymczasem nakazał dalsze czytanie francuskiej monografii i napisanie jej streszczenia, które zostało przyjęte później jako praca magisterska pt. „Zastosowanie światła spolaryzowanego w badaniach chemicznych” z końcem roku akademickiego 1935/36. W jesieni 1936 r. już zaczynałem pracę na AGH u Skąpskiego. O wyniku egzaminu magisterskiego, który odbywał się 15 października, miałem zawiadomić mojego nowego szefa telefonicznie. Gdy do niego zadzwoniłem, usłyszałem zaproszenie „Niech Pan tu do nas zaraz przyjdzie” i w ten sposób po raz pierwszy znalazłem się w gościnnym domu pp. Skąpskich obchodzących właśnie imieniny pani Jadwigi Skąpskiej.

Wracam jednak jeszcze do okresu moich studiów uniwersyteckich. Ówczesny system nie wymagał tworzenia grup studenckich, co nie sprzyjało rozwojowi koleżeńskich przyjaźni, jak to ma miejsce dzisiaj. Koledzy różniący się wiekiem i zaawansowaniem studiami odbywali równocześnie te same zajęcia i ćwiczenia. W pracowni chemii analitycznej na II i III roku moim bezpośrednim sąsiadem był Kazimierz Kulczycki, wówczas już żonaty, a dalsze miejsce zajmowała raczej milcząca Silberówna, o której będzie mowa w dalszej, powojennej części moich wspomnień, gdyż szczęśliwie przetrwała wojnę pomimo zagrożenia ze względu na jej pochodzenie żydowskie. Wojnę przetrwała podobno ukryta w jakimś klasztorze żeńskim i później wyemigrowała do USA.

Kolegą, z którym utrzymywałem, być może, najbliższe stosunki, był Andrzej Waksmundzki, góral z miejscowości Waksmund w pobliżu Nowego Targu. Jeszcze przed wybuchem wojny Andrzej rozpoczął

asystenturę w Katedrze Chemii Fizycznej UJ u prof. Kamieńskiego. Po wojnie został profesorem chemii fizycznej na Uniwersytecie w Lublinie i znany był ze swoich prac nad chromatografią.

Zbliżający się koniec studiów nakazywał rozglądnięcie się za jakimś zatrudnieniem. W tym czasie zainteresowałem się postacią prof. Akademii Górniczej Adama Skąpskiego. Słuchałem kilku jego wykładów urządzonych w ramach Polskiego Towarzystwa Chemicznego. Utkwił mi zwłaszcza w pamięci jego wykład o niedawnym odkryciu neutronów. Nie bez pewnej protekcji udało mi się uzyskać zatrudnienie w jego zespole na AG, zwanej wówczas Akademią Górniczą. Adam Skąpski, podobno najmłodszy profesor chemii powołany przez Ministra Oświaty i Wyznań Religijnych, był jednym z najciekawszych ludzi, jakich spotkałem w ciągu mojego życia. Katedrę Chemii Fizycznej na Wydziale Hutniczym objął po śmierci pierwszego jej kierownika prof. Bogdana Szyszkwowskiego. Ten znakomity uczoney prowadził równocześnie dwie Katedry chemii fizycznej: na AG i na UJ. Skąpski miał za sobą roczny pobyt w Sztokholmie w Instytucie Metalografii kierowanym przez Carla Benedicksa, uczonego o międzynarodowej renomie i szerokich stosunkach w świecie. Z tego laboratorium Skąpski wyniósł zainteresowanie wtrąceniami metalicznymi występującymi w stali. Wtrącenia takie, siarczki, tlenki oraz krzemiany żelaza i manganu, wpływają, jak się sądzi, na właściwości mechaniczne stali. Jak wykazała praca doktorska Eugeniusza Chyżewskiego, mogą one przyspieszać korozję metali tworząc na ich powierzchni mikroogniwa. Pomysł wydzielania wtrąceń niemetalicznych przez anodowe roztwarzanie otaczającego ich metalu przywiózł zapewne Skąpski ze Sztokholmu. Anodowe roztwarzanie stali powodowało wytrącanie kłopotliwego wodorotlenku żelaza(II). Aże-

by tego uniknąć, elektrolit zawierał cytrynian sodu dający z żelazem dobrze rozpuszczalny związek kompleksowy. Wtrącenia niemetaliczne w czasie elektrolizy wpadały do woreczka z gliceryną umieszczonego poniżej anody metalicznej.

Tok analizy wydzielonych wtrąceń opracował Olek Kotliński jeszcze przed moim przyjściem do Zakładu. W okresie 1937/9 stwierdził on występowanie siarczku miedzi wśród wydzielonych wtrąceń. Było to nieoczekiwane zjawisko, zwracało uwagę na występowanie (drobnej) ilości miedzi w stali otrzymywanej w naszych hutach. Sądziliśmy wówczas, że pochodzą one z przetopienia dużych ilości złomu stalowego zbieranego na dawnych polach walki. Profesor do tego odkrycia odniósł się z rezerwą, później jednak uległ argumentom Olka i ostatecznie zaproponował uruchomienie głębszych badań na ten temat. Zadanie to zostało powierzone inż. Aumillerowi, który pragnął się u nas doktoryzować. Jego badania polegały na przepuszczaniu nad ogrzaną próbką siarczku mieszaniny wodoru i siarkowodoru, a wyniki pozwalały na wyliczenie prężności rozkładowej siarczku. Wyniki otrzymane jeszcze przed wakacjami 1939 r. wskazywały istotnie na możliwość występowania siarczku miedzi w stali hutniczej. Trzeba jednak zaznaczyć, że wynik taki napotykał wątpliwości ze strony prof. Aleksandra Krupkowskiego uważającego się za specjalistę w zakresie termodynamiki hutniczej. Po latach jednak, gdy Skąpski znalazł się w USA, wyniki te traktowano bardzo poważnie.

Zespół pracujący pod wodzą prof. Skąpskiego liczył około 10 osób. Na pierwszej pozycji należy wymienić dr Eugeniusza Chyżewskiego, pierwszego doktora wychowanego przez naszego szefa. Bardzo serdecznie wspominam Włodka Gosławskiego, który był naszym asystentem w czasie, gdy odrabialiśmy na UJ ćwiczenia z chemii fizycznej, a później prze-

szedł na AGH. Był on znakomitym taternikiem i zginął w zimie 1939/40 w czasie próby przejścia przez Tatry. Ważną rolę w tej grupie odgrywał Olek Kotliński, który z biegiem czasu stał się właściwie członkiem naszej rodziny i był ojcem chrzestnym mojego syna Piotra. Wbrew pozorom swojego wyglądu (był niski i ułomny) wykazywał nieraz wiele odwagi. Kiedy w czasie wojny i zakazu posiadania aparatów radiowych postanowił przenieść aparat radiowy ze swojego mieszkania przy placu na Groblach do budynku AGH na krakowskich Krzemionkach, gdzie funkcjonował instytut badawczy „Prufanstalt”. Powstał problem bezpiecznego przeniesienia jego radioaparatu. Ostatecznie Olek zdecydował się przewieźć go tramwajem bez żadnego opakowania, wyszedł bowiem z założenia, że inni pasażerowie będą uważać, że osoba w ten sposób przewożąca sprzęt radiowy widocznie ma do tego uprawnienie. Odbiornik został umieszczony na strychu budynku AGH, a Polacy tam zatrudnieni mieli codziennie najświeższe wiadomości z BBC. Prufanstalt podlegał formalnie władzom niemieckim, chociaż pracowali w nim przedwojenni asystenci AGH. W pewnym momencie zjawił się jakiś ważny hitlerowiec na kontrolę tego instytutu. Wszystkich pracowników polskich z tej racji zgromadzono w jednej sali. Ów hitlerowiec zadał pytanie „Gdzie jest tutaj AK?” i skierował je do niepozornie wyglądającego Olka. Ten jednak bez zastanowienia odpowiedział : „AK? *Das bin ich: Alexander Kotliński*” hitlerowiec w lot zrozumiał dowcip i zaczął się śmiać, a cała napięta atmosfera nagle znikła.

Spśród zespołu pracującego u prof. Skąpskiego wyróżniał się temperamentem Marek Sobieski, który w czasie wojny pracował w jakiejś firmie niemieckiej zainteresowanej woskami pszczelimi. Został on aresztowany w ostatnich miesiącach wojny, a jego nazwisko umieszczone na tzw. liście zakładników. Umieszczenie nazwiska na pierwszym miej-

scach oznaczało, według powszechnego mniemania, że dane osoby zostały już rozstrzelane.

Nie umiem powiedzieć, co działo się w czasie wojny z innymi kolegami z naszego zespołu. Chyżewski, adiunkt na AGH, powrócił w swoje rodzinne strony w Kieleckim lub Radomskim. Po wojnie już w Krakowie się nie pokazał, pracował podobno w jakimś laboratorium obuwniczym i zmarł (śmiercią samobójczą?). Julian Kamecki, który habilitował się przed wojną z zakresu chemii fizycznej i nieorganicznej został aresztowany w listopadzie 1939 r. razem z innymi profesorami i docentami UJ i przewieziony do obozu koncentracyjnego, skąd powrócił po 2 latach, wynędzniały, ze zrujnowanym zdrowiem. Po ostatecznej rezygnacji Skąpskiego z powrotu do Polski, Kamecki objął kierownictwo jego Katedry na Wydziale Hutniczym AGH. Po kilku latach zmarł w wyniku choroby serca, pamiętki po pobycie w obozie hitlerowskim.

## **British Council – Wielka Brytania**

Mój pobyt w Anglii 1948/49 trwał dokładnie jeden rok i jeden dzień od 1 października 1948 do 1 października 1949. Stanowił on ważny okres w moim życiu. Było to bowiem pierwsze moje spotkanie z legendarnym światem wolności, obiektem naszych westchnień w czasie nocy wojennej. W warunkach po ustaleniu się pokoju podróż z Polski do Wielkiej Brytanii mogła się odbyć tylko drogą morską. Nie pamiętam już, w jaki sposób było załatwiane kupno moich biletów. W Gdyni zaokrętowanie pasażerów odbywało się na dworcu morskim, wielkim budynku z dużą halą, gdzie odbywała się odprawa celna i skąd pasażerowie przechodzili pomostem wprost na okręt, sławny „Batory”, który w czasie wojny woził polskie dzieci na Wschód i do Afryki.

Dostałem miejsce w kajucie położonej dość nisko w kadłubie, wspólnej z dr Januszem Nastem entomologiem z muzeum przyrodniczego w Warszawie, który równocześnie ze mną uzyskał stypendium z British Council. Statek opuścił Gdynię około południa i następnego dnia rano zatrzymaliśmy się w Kopenhadze. Stosunki powojenne były na tyle nieskrępowane, że pasażerowie mogli wyjść na ląd, a równocześnie Duńczycy zwiedzać polski okręt. Przy zejściu ze statku czekał na mnie mój brat, który wówczas funkcjonował jako ekspert przy zakupie bydła rasowego i koni z krajów skandynawskich. Zwiedzaliśmy razem Kopenhagę aż do wieczora. Noc statek spędził na drodze przez nieco wzburzone Morze Północne i popołudniu następnego dnia byliśmy w Southampton, gdzie na peronie obok miejsca zacumowania statku czekał pociąg osobowy do Londynu.

W naszym przedziale kolejowym jechał pan około 40-stki, który opowiadał ciekawie o angielskich obyczajach. Później okazało się, że był to Antoni Słonimski, znany literat pełniący służbę attache w naszej ambasadzie. Opiekę nad nami miał British Council, którego przedstawiciel czekał na nas, na Nasta i mnie, a następnie zawiózł nas do hotelu przy Brompton Road. Z hotelu zapamiętałem tylko, że przy hotelowym śniadaniu mignęła mi twarz Andrzeja Kowerskiego studenta rolnictwa za czasów mojego brata. Poznałem go w Krakowie tylko przelotnie i nie próbowałem w hotelu nawiązać z nim kontaktu. W Krakowie był on znany z tego, że wyratował się z lawiny śnieżnej, która zeszła z Liliowego ku dolinie Kasprowej. Szczęśliwie uratowany stracił nogę w jakimś wypadku i przed ostatnią wojną wszedł w spór z władzami wojskowymi pragnąc uzyskać przydział do broni zmotoryzowanej. Niedawno znalazłem jego nazwisko w angielskiej książce opisującej działanie angielskiego wywiadu w czasie ostatniej wojny. Kowerski został tam

przedstawiony jako as wywiadu angielskiego pracującego na terenach okupowanych przez Niemców.

British Council, którego siedziba mieściła się przy Grosvenor Square, ułatwił nam także znalezienie mieszkania, wskazując adres pp. Carrerasów przy Stafford Terrace 20, ulicy równoległej do Kensington Street. Pan Carreras pochodził z hiszpańsko-angielskiej rodziny i urodził się na Malcie. Pani Carrerasowa była natomiast Irlandką wspominającą powstanie irlandzkie w czasie I wojny światowej. W ich jadalni spotykali się rano lokatorzy (obyczaj *bed and breakfast*): my dwaj Polacy, dr Schoenberg, brazylijski lekarz, zapewne członek brazylijskiej partii komunistycznej, oraz Urugwajczyk Algazi. Okazją do dyskusji były także wspólne obiady niedzielne. Serdeczne stosunki z naszymi gospodarzami ustaliły się od chwili, gdy w pierwszą niedzielę zapytaliśmy o położenie najbliższego kościoła katolickiego. Oboje byli bowiem katolikami.

British Council zajął się jeszcze przed formalnym przyznaniem stypendium, a także możliwością umieszczenia przyszłych stypendystów w brytyjskich pracowniach naukowych. Na mnie czekało miejsce w Imperial College of Science and Technology w zespole dr F.C. Tompkinsa. Tompkins na wstępie powiedział mi, że zainteresował go fakt podany w moim CV, że zajmowałem się rozkładem termicznym pięciowodnego siarczanu miedzi. Zaproponował, by moim tematem zrobić badanie reakcji odwrotnej: uwadnianie odwodnionej soli działaniem pary wodnej, np. odwodnionego ałunu chromowo-potasowego  $\text{KCr}(\text{SO}_4)_3 \cdot 6\text{H}_2\text{O}$ , którego rozkład był badany już wcześniej w Bristolu przez Garnera, gdzie swój staż odbywał dawniej Tompkins. W czasie tej rozmowy zaproponował, by te badania przeprowadzić wychodząc z monokryształu ałunu. Potrzebna do naszych celów aparatura miała być w całości szklana, a zmiany ciężaru próbki rejestrowane przy pomocy wagi sprężynowej

zwierającej spiralę kwarcową, której wydłużenie miało być rejestrowane przy pomocy katetometru. Stało na tym, że część zawierającą wagę z próbką otoczoną płaszczem wodnym wykona szklarz zatrudniony w Chemisty Departement, a resztę układu próżniowego zrobię sam ze szkła pyrexowego. Nie miałem jednak wówczas praktycznie żadnego doświadczenia w obróbce szkła na palniku gazowym. Ostatecznie korzystając z rad kolegów i ich doświadczenia, a także niszcząc pokaźną ilość rurek szklanych na koszt Jego Królewskiej Wysokości zbudowałem dobrze działającą aparaturę zawierającą wykalibrowany przeze mnie aparat Mac Leoda. Pomiary kinetyczne zrobione w tym urządzeniu zostały opublikowane wspólnie z Tompkinsem w *Journal of the Faraday Society* a także, za specjalną zgodą mojego szefa, w *Biuletynie PAU*.

Już po powrocie posłużyły mi jako rozprawa habilitacyjna przedstawiona Radzie Wydziału Hutniczego AGH. Sama obrona odbyła się tuż przed wakacjami 1950 roku. Zgodnie z ówczesnymi przepisami podlegała ona zatwierdzeniu przez Ministerstwo w Warszawie. Akta moje powinny być przeto wysłane do centrali przez Dziekanat naszego Wydziału. Kiedy już po kilku miesiącach zapytałem w Dziekanacie o losy mojej habilitacji, okazało się, że potrzebne dokumenty leżą, zapomniane, jeszcze w biurze Wydziału. Nie byłoby to straszną tragedią, gdyby nie fakt, że w nowym postanowieniu Sejmu habilitacja w ogóle została zniesiona, a równocześnie została powołana do życia Centralna Komisja do spraw tytułów i stopni naukowych. Rektor prof. Kowalczyk próbował jeszcze w Ministerstwie tę sprawę załatwić. Skończyło się wszystko jednak dla mnie zdecydowanie korzystnie, gdyż wspomniana Komisja Centralna przyznała mi tytuł profesora nadzwyczajnego, pomijając sprawę habilitacji. Po wielu latach habilitacja została na nowo wprowadzona, ale ja już do sprawy jej zatwierdzenia nie wracałem, mając nominację



profesorską (praca wykonana w Imperial College of Science and Technology była także podstawą do otrzymania dyplomu wydanego przez tę Uczelnię „Diploma of the Imperial College of Science and Technology”, upoważniającego do umieszczenia w swoim podpisie literek D.Sc) i nadal przed nazwiskiem nie umieszczam Dr hab. Czasami ograniczam się tylko do napisania Dr Hon.

Wróćmy jednak do mojego pobytu w Londynie, gdzie niezależnie od mojej pracy w Imperial College starałem się poznać miasto i jego zabytki i muzea. Tuż obok mojego laboratorium znajdowało się znakomite Science Museum ze swoją kolekcją maszyn parowych, które na przełomie XVIII i XIX wieku robiły angielską „rewolucję przemysłową”. Dzisiaj w tym muzeum mieści się zbiór pojazdów kosmicznych: raket kosmicz-



Profesor Bielański w czasie jednego z późniejszych pobytów w Londynie

nych i kapsuł załogowych. W pobliżu naszego Chemistry Departement mieści się też przy Brompton Road, Victoria and Albert Museum z kolekcją wykopalisk zwożonych z różnych części dawnego imperium kolonialnego. Na I piętrze można tam spotkać obrazy znakomitych malarzy angielskich z pierwszej połowy XIX w. Turnera (studiowanych przez francuskich impresjonistów) oraz Constable'a, który był pierwszym pejzażystą malującym „z natury”. Na pierwszym miejscu były jednak wizyty w National Museum, gdzie mają swoich reprezentantów wszystkie historyczne szkoły i kierunki malarstwa europejskiego. Wielką sensacją była wystawa obrazów urządzona przez wiedeńskie Kunsthistorisches Museum. Odwiedzam je dotąd za każdym pobytom we Wiedniu. W Londynie wystawiano około 200 obrazów z tej galerii, w tym dzieła Velasqueza i Breuglów.

W okresie wędrówek londyńskich mogłem spotkać wielu Polaków, którzy zdecydowali się na pozostanie za granicą. Pierwszym z nich był Broniek Noel, dowódca artylerii w Dywizji gen. Maczka. Jego żona Fela razem dziećmi, Adasiem i Ewą, mieszkała wówczas w Szkocji pod Edynburgiem. Odwiedziłem ich w okresie Świąt Bożego Narodzenia. Była to także okazja do zwiedzenia pięknego i ciekawego Edynburga. Często odwiedzałem w londyńskiej dzielnicy Ealing Lecha Przyłęckiego i jego żonę. Już wtedy była na świecie ich córka Elżbieta i oczekiwali na mającą się urodzić Annę. Jeszcze przed moim powrotem do Polski zdążyłem być ojcem chrzestnym tej ostatniej. Jest ona rówieśnicą naszego Piotra urodzonego w lutym 1949 r.

Lech Przyłęcki, po aresztowaniu w Jaśle lub na Wolicy, był następnie przetrzymywany w obozie przymusowej pracy w Hamburgu. Jego żona Maria, potocznie zwana Urszulą, spędziła pewien okres w obozie hitlerowskim w Oświęcimiu. Po zakończeniu wojny oboje na statusie

DP (displaced persons) spotkali się gdzieś Niemczech i pobrali. Córka Anna wyszła za mąż za Mike'a Bruce, jest matką dwojga dzieci, Kasi i Piotrusia, dobrze mówiących po polsku. Anna jest częstym gościem na Jaskółczej i zawsze bierze serdeczny udział we wszystkich naszych rodzinnych wydarzeniach. Należy do naszych najbliższych, z którymi utrzymujemy stały kontakt.

W Londynie spotkałem także Wiktora Trościankę, byłego speakera Polskiego Radia w Wilnie. Po nawiązaniu kontaktu telefonicznego spotkaliśmy się pod Victoria and Albert Museum na Brompton Road. Wspominam go, gdyż po upadku Powstania Warszawskiego mieszkał przez kilka tygodni u nas na Jaskółczej. Po roku 1949 pracował w Monachium w Radiu Wolna Europa. Niestety w latach 1990-tych pojawiły się oskarżenia, że miał on jakieś podejrzane kontakty z PRL-owskim wywiadem.

Do osób, które często odwiedzałem, należał płk. Więckowski, przed wojną komisaryczny prezydent miasta Poznania, ojciec żony mojego kuzyna Staszka Komorowskiego, Julii (Dzidzi!). Miał on w Londynie 2 synów, którzy studiowali w Londynie, a on prowadził całe ich gospodarstwo domowe.

Mój powrót do Krakowa odbywał się drogą kolejową przez Francję (Boulogne) z zatrzymaniem się na 2 lub 3 dni w Paryżu, gdzie zastałem Suesserów rozpoczynających już trudny żywot emigrantów. Na dworcu kolejowym w Krakowie czekała na mnie Ewa z Adasiem i Piotrusiem.

# Tworzenie

## Wydziału Ceramicznego

### przez profesora Bielańskiego

---

Jak już wspomniałem w części wstępnej, zatytułowanej „Od auto-ra”, do najważniejszych zagadnień, które musiał rozwiązać dziekan, należały: ustalenie programu kształcenia i dobór wykładowców. Przedmioty podstawowe to była matematyka, fizyka i chemia ogólna, przede wszystkim nieorganiczna – wszystkie po dwa semestry na pierwszym roku. Na drugim roku weszła chemia fizyczna, także dwa semestry. Natomiast geometrii wykreślnej przydzielił jeden semestr. Profesor Bielański wprowadził jeszcze dodatkowo termodynamikę techniczną, którą wykładał dr hab. Ziemiński, zaproszony z Politechniki Krakowskiej.

Z przedmiotów niezbędnych dla inżyniera na drugim roku wprowadzono elektrotechnikę, technologię ciepła i paliwa oraz wytrzymałość materiałów, wszystkie po dwa semestry oraz górnictwo odkrywkowe i maszynoznawstwo, po jednym semestrze. Wykłady z wszystkich tych przedmiotów prowadzili profesorowie AGH, kierownicy odpowiednich katedr. Stosunkowo „nowymi” w AGH byli w tym gronie docent Michał Bednarski i profesor Bolesław Stefan (górnictwo odkrywkowe i maszynoznawstwo). Dodatkowo profesor Bielański widział celowość rozszerzenia przedmiotów o obróbkę skrawaniem. Patrząc na ten program z perspektywy ponad 60 lat pracy naukowej i inżynierskiej, muszę stwierdzić, że wszystkie te przedmioty wykazały dużą przydatność.



Profesor Bielański  
w trakcie wykładu

Wyjątek może stanowiła tylko obróbka skrawaniem, z której zapamiętałem tylko nazwę narzędzia skrawającego „nóż bocian prawy”. Jednak wykłady i z tego przedmiotu pozwoliły mi na spokojną ocenę wyposażenia warsztatów we wszystkich cementowniach, w których byłem na stażach, a także w czasie wykonywania bilansów energetycznych i sprawdzania zdolności produkcyjnej urządzeń lub całych linii technologicznych. Pamiętam moje zaskoczenie w trakcie krótkiego, tygodniowego pobytu we francuskiej cementowni firmy Lafarge, w której wszystkie obrabiarki pracowały na jednym silniku o odpowiedniej mocy, za pomocą wspólnego pasa napędowego.

Był także przedmiot dotyczący automatyki, oczywiście w owych latach w stadium początkowym. Trzeba jeszcze dodać ekonomikę, którą

prowadził bardzo dobry wykładowca, pracownik Komisji Planowania w Warszawie. Nie można także zapomnieć o ekonomii politycznej, która należała w owych czasach do przedmiotów obowiązkowych. Pamiętam, że ktoś doniósł na mnie do profesora Bolesława Kłapkowskiego, który wykładał ten przedmiot, że robię sobie „hece” z tego przedmiotu, a więc także z tego profesora. Na szczęście miałem dobrą opinię u asystenta prowadzącego ćwiczenia, który mi o tym powiedział. Przekonał także profesora, że to niesłuszne oskarżenie, jednak poradził mi, żebym zachowywał się wzorowo na wykładach.

Znacznie łatwiejszy był dobór przedmiotów „technologicznych”, które pokrywały się z głównymi rodzajami materiałów ceramicznych, a więc były to materiały ogniotrwałe, wiążące, szkło i ceramika, w tym ostatnim przede wszystkim płytki ceramiczne. Natomiast trudno było znaleźć wykładowców na odpowiednim poziomie, było to więc dla dziekana Bielańskiego duże wyzwanie. Moim zdaniem profesor miał bardzo szczęśliwą rękę i wywiązał się z niego doskonale. Na wykładowcę „ceramiki” pan dziekan powołał profesora Leona Winogradowa, dyrektora do spraw naukowych Instytutu Krzemianów w Warszawie. Profesor Winogradow miał bardzo dobre przygotowanie z chemii, ukończył bowiem przed wojną studia chemiczne na Wydziale Chemii Politechniki Gdańskiej. Był asystentem w Instytucie Chemii Nieorganicznej w tej Politechnice, pracował także w Fabryce Fajansu i Porcelany w Nowym Dworze Mazowieckim. Była z nim związana anegdota dotycząca „ozdoby” wytwarzanych w tej fabryce nocników, a mianowicie wprowadził „ozdobę” dna nocnika w formie oka i otaczającego napisu: „co ja widzę nikt nie widzi”, w języku niemieckim. Ułatwiało to duży eksport nocników do tego kraju. Po wojnie był przez długi okres zastępcą dyrektora do spraw naukowo-badawczych w In-

stytucie Krzemianów w Warszawie. Powołanie profesora Winogradowa na prowadzącego kształcenie z ceramiki było bardzo udane.

Było także stosunkowo łatwo znaleźć specjalistów z wiążących materiałów budowlanych. Dziekan Bielański powołał dwóch: zastępcę dyrektora Zjednoczenia Przemysłu Cementowego ds. inwestycyjnych Jerzego Sulikowskiego oraz wiceministra w resorcie Budownictwa i Materiałów Budowlanych – Jerzego Grzymka. Z powołaniem tego ostatniego wiąże się pewna historia, która krążyła na Wydziale Ceramicznym przez pewien czas. Dotyczyła ona przeniesienia Wydziału na Politechnikę Warszawską. Było to uzasadniane lepszym przygotowaniem Wydziału Chemii w tej uczelni do prowadzenia kształcenia o tym kierunku, przede wszystkim w oparciu o Katedrę Chemii profesora Józefa Zawadzkiego. Wspominałem o tym we wstępie „Od autora”. Dziekan Bielański zareagował bardzo szybko, proponując ministrowi Grzymkowi objęcie Katedry Budowlanych Materiałów Wiążących. Na tym ta sprawa się zakończyła. Grzymek miał duże osiągnięcia badawcze, zajmował się między innymi czynnikami wpływającymi na pokrój kryształów alitu, opracował technologię kompleksowego wytwarzania tlenku glinu i cementu, której mały oddział znajdował się w cementowni Groszowice. Rozpoczęto budowę takiego zakładu, połączonego z cementownią Nowiny, niestety przypadło to z końcem okresu „gierkowskiego” i inwestycję przerwano.

Największe kłopoty miał Dziekan Bielański z obsadzeniem Katedry Szkła. Początkowo powierzono kształcenie na tym kierunku Rosjaninowi dr Zygmuntovi Legunowi, który przyjeżdżał zawsze z asystentem chemikiem, Polakiem. Był to jedyny nieudany wykładowca. Jako przedstawiciel studentów złożyłem wizytę Dziekanowi w tej sprawie. Drugi wybór był w pełni udany, na wykładowcę powołano Pawła Schleifera,

który po wojnie ukończył studia na Wydziale Chemicznym Politechniki Gdańskiej. Pracował szereg lat w ponemieckiej Wytwórni Szkła Optycznego w Jeleniej Górze. Nasz kolega Kryspin Omielski, który ukończył kierunek technologia szkła na naszym Wydziale i pracował w tym zakładzie, lubił go nazywać po niemiecku: Chirshberger Optische Werke. Działalność Dziekana Bielańskiego w zakresie doboru wykładowców dla nowego Wydziału była w pełni udana. Na przykład kierunek „cementu”, jak to potocznie nazywano, wykształcił wielu absolwentów bardzo dobrze przygotowanych do zawodu. Trzeba podkreślić, że kształcenie technologów było bardzo ułatwione ze względu na bardzo dobre przygotowanie z chemii, która była prowadzona przez sześć semestrów przez bardzo dobrze przygotowanych pedagogów.

Nie wspominałem jeszcze o utworzeniu Katedry Chemii Krzemianów, która powstała z inicjatywy profesora Bielańskiego już w roku 1951 i powierzył ją profesorowi Edwardowi Görlichowi. Utworzenie tego kierunku kształcenia było niezwykle ważne dla szeroko rozumianej ceramiki i obejmowanych przez nią technologii. Trzeba zwrócić uwagę, że w owych latach chemia krzemianów nie była wykładana w żadnym kraju europejskim, wyjątek stanowiła jedynie Rosja. W tym też kraju powstały podręczniki z tego przedmiotu; trzeba tutaj wymienić chemie Jewstropiewa i Toropowa „Chimia kremnia i fiziczeskaja chimia silikатов”, Moskwa 1950 r. i G.W. Kukolewa „Chimia kremnia i fiziczeskaja chimia silikatow”, Moskwa 1951 r. Korzystałem z tej ostatniej, ponieważ udało mi się ją kupić w księgarni rosyjskiej w Rynku w Krakowie, za 3,50 zł.

Był także w Niemczech bardzo dobry podręcznik Eitela „Physikalische Chemie der Silicate”, Lipsk 1941 r. Były to pierwsze w Europie monografie z tego przedmiotu, co wskazuje, jak ważne było utworze-



nie tego kierunku kształcenia przez Dziekana Bielańskiego, już w roku 1950. Profesor Bielański był jedynym w Polsce naukowcem w owych czasach, który rozumiał znaczenie chemii krzemianów dla technologów ceramików.

Profesor Görlich, wychowanek profesora Bolewskiego, miał bardzo dobre przygotowanie z zakresu mineralogii, co ułatwiło mu opracowanie dobrego programu kształcenia z tego „nowego” działu chemii. W trakcie wykładów staraliśmy się sporządzić jak najobszerniejsze notatki, które przekazaliśmy profesorowi Görlichowi, jednak wątpię, żeby pomogły w opracowaniu „dzieła” pt. „Chemia krzemianów”, które ukazało się w 1957 roku. Stanowiły jednak dla profesora dowód, jak bardzo byliśmy zainteresowani jego wykładami. „Chemia krzemianów” profesora Görlicha była, jest i będzie jeszcze długo bardzo potrzebnym „podręcznikiem” dla technologów, pracujących w różnych gałęziach przemysłu ceramicznego. Obejmuje ona także podstawy chemii ogólnej, w zakresie pozwalającym na łatwe i pełniejsze zrozumienie tej gałęzi wiedzy. Ja sam często sięgam do tego wspaniałego dzieła, na przykład żeby przypomnieć sobie zmiany objętości zachodzące w przypadku przemiany polimorficznej kwarcu  $\alpha$  w trydymit  $\alpha$ . Zachodzi ona w temperaturze około 850°C i ma duże znaczenie dla odporności ogniowej betonu.

Jestem przekonany, że niezwykle interesujące będzie także spojrzenie na powstawanie Wydziału Ceramicznego oczyma profesora Bielańskiego, przytaczam więc jego wspomnienia.

## Praca na Wydziale Ceramicznym (1949–1964)

Wspomnienia 4.

Dość szybko wróciłem do pracy na AGH, gdzie przyjął mnie Rektor prof. Walery Goetel, i polecił zająć się sprawami właśnie tworzonego Wydziału Mineralnego. Na tym Wydziale rozpocząłem dla pierwszego roku wykłady z chemii ogólnej. Ten nowy wydział powstał z inicjatywy prof. Andrzeja Bolewskiego i Rektora Goetla z zamiarem wykształcenia inżynierów potrzebnych dla gałęzi przemysłu rozwiniętego na Dolnym Śląsku, a w szczególności przemysłu mineralnego i ceramicznego oraz specjalności eksploatacji minerałów metodami odkrywzkowymi. Ta ostatnia specjalność spowodowała, że Wydział Mineralny podlegał początkowo Wydziałowi Górniczemu i z tej racji miałem częste kontakty z Dziekanem tego wydziału prof. Antonim Sałustowiczem, człowiekiem o dużej kulturze, którego wspominam bardzo serdecznie.

Studenci, z którymi spotkałem się na nowym Wydziale, stanowili świetny zespół. Przeważnie byli to młodzi ludzie odrzuceni z innych kierunków ze względu na swoje „złe” pochodzenie z rodzin inteligenckich. W istocie był to może najlepszy rocznik studentów, z jakim się w ogóle spotkałem. Po roku lub dwóch okazało się, że trudno będzie kształcić na tym samym roczniku studentów eksploatorów i technologów. Wydział Mineralny został przeto podzielony na specjalność odkrywkową, podlegającą Wydziałowi Górniczemu, i samoistną specjalność „Ceramiczną”, załączek dzisiejszego Wydziału Inżynierii Materiałowej i Ceramiki. Podział odbył się nie bez trudności, gdyż większość studentów pragnęła

pozostać przy ceramice. Z wielu studentami tego rocznika spotykam się i dzisiaj. Należą do nich dwaj profesorowie, filary nowego Wydziału: Wiesław Kurdowski (Technologia materiałów wiążących) i Leszek Stoch (Technologia szkła), a także Zbigniew Daniszewski częsty bywalec koncertów w naszej Filharmonii.

Po powrocie z Anglii w październiku 1949 r. zastałem na AGH wiele zmian. W czasie mojej nieobecności władze komunistyczne bardzo wzmocniły swoje wpływy. Komitet partyjny nie krył się już ze swoją tendencją, by stać się na uczelni „wiodącą siłą”. Jak już wspomniałem, obok dotychczasowych wydziałów Górniczego i Hutniczego, zaczęto pod egidą tego pierwszego organizować Wydział Mineralny, powstały według koncepcji Rektora Goetla i prof. Andrzeja Bolewskiego z myślą o „ziemiach odzyskanych”, gdzie znajdują się bogate złoża surowców mineralnych i ceramicznych oraz rozwinięty przemysł szklarski, cementowy i ceramiczny.

Po powrocie pracowałem nadal w Katedrze Chemii Fizycznej i Elektrochemii kierowanej przez Juliana Kameckiego, do której dołączyli się Jerzy Sędzimir, Zdzisław Zembura oraz Leszek Suski.

Równocześnie prowadziłem wykłady z chemii ogólnej dla ceramików, pozostając na etacie „zastępcy profesora”, co skończyło się później powołaniem mnie w 1952 r. na stanowisko prorektora AGH do spraw dydaktycznych.

Zygmunt Kowalczyk jeszcze jako dziekan Wydziału Geologii i Geodezji wyróżnił się wystąpieniem na wspólnym posiedzeniu Senatu i Komitetu partyjnego w sytuacji, w której partia usiłowała zwalić wszystkie niedociągnięcia w Uczelni na prof. Stanisława Gołęba, znakomitego matematyka. Oczekiwano, że prof. Gołąb uzna swoje błędy i „pokaja się” publicznie. Tymczasem prof. Gołąb oświadczył, że nie może zostać dalej na posie-

dzeniu, gdyż ma umówione spotkanie ze swoim gościem zagranicznym. W kilka tygodni później Kowalczyk dostał wezwanie do Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego, gdzie minister niespodziewanie wręczył mu nominację na Rektora AGH. Odnieśliśmy wrażenie, że najwyższe władze PZPR doszły do przekonania, że partia na uczelni popełniła błąd i powołała na stanowisko rektora osobę zdolną do ujarznienia „towarzyszy”. Wkrótce po swojej nominacji Kowalczyk, sam bezpartyjny, doprowadził do mianowania dwóch również bezpartyjnych prorektorów: Mariana Mięśowicza, prorektora do spraw naukowych, i mnie do spraw dydaktycznych.

Z tych czasów wspominam moje zabawne przeżycie związane z radosną dla nas wiadomością o śmierci Stalina w marcu 1953 r. W dniu, kiedy ta wieść została opublikowana, Rektor był gdzieś poza Krakowem i zastępował go Marian Mięśowicz, do którego zgłosił się pierwszy sekretarz partii z tym, że władze uczelni powinny złożyć w Konsulacie Radzieckim kondolencje z tej okazji. W towarzystwie tegoż sekretarza udaliśmy się obydwaj z Mięśowiczem do Konsulatu, gdzie przez otwarte drzwi mogliśmy obserwować rektora UJ rozmawiającego z konsulem. Kiedy przyszła na nas kolejka stanęliśmy przed obliczem konsula przyjmującego gości na stojąco. Kiedy ujrzałem Mariana, mojego przyjaciela, dobierającego słowa odpowiednie do okoliczności, ogarnęła mnie wesołość i tylko z trudem powstrzymałem się od głośnego śmiechu. Do opanowania tych odruchów zmusił mnie autentyczny strach, że pociągnęłoby to za sobą awanturę i kłopoty dla mojej Uczelni.

Śmierć Stalina zapoczątkowała w Polsce tzw. okres „odwilży”, stopniowego obniżania napięcia politycznego aż do śmierci Bieruta, po którym głównym szefem partii komunistycznej został Gomułka.

W ramach dalszych prac związanych z organizacją studiów ceramicznych należało się zająć również uruchomieniem pierwszej kate-

dry nowego wydziału, Katedry Chemii Nieorganicznej. Ciężył na niej obowiązek prowadzenia wykładów i zajęć laboratoryjnych z chemii dla studentów ceramiki. Wykłady te prowadziłem od jesieni 1949 r. tj. od mego powrotu do kraju. Pierwszymi osobami zaangażowanymi do tej Katedry byli: mgr Anna Kłos (obecnie dr Anna Sędzimirowa) oraz mgr Mieczysław Sysło.

Temat, od którego rozpoczęliśmy pracę badawczą w nowej Katedrze, dotyczył preparatyki aktywnego tlenku glinu jako sorbenta pary wodnej (temat zaproponowany przez Instytut Chemii Przemysłowej). Z tej dziedziny pracę doktorską obroniła p. Anna Kłos, badając różne odmiany tego tlenku, a także mgr inż. Maksymilian Burk, jedyny w naszym gronie członek PZPR. Mgr Sysło, rozpoczynając od tematu zastosowania przepływu gazu przez warstwę sproszkowanego ciała stałego do oznaczenia powierzchni właściwej, rozwinął samodzielnie temat teoretyczny, który stał się podstawą jego doktoratu na Uniwersytecie Jagiellońskim, nadzorowanego przez prof. Gołąba. Maksymilian Burk, który miał za sobą wojenny pobyt w Związku Radzieckim w rejonie nadgranicznym Gór Altajskich, wyjechał jeszcze w latach 50-tych ze swoją rodziną za granicę. Po krótkim pobycie we Francji osiedlił się USA w Denver, gdzie odwiedziłem go w 1960 r. Pracował wówczas w koncernie Coors w fabryce ceramicznej.

Razem z moimi współpracownikami, pp. Kłos i Burkiem, wydaliśmy w tym okresie skrypt z chemii nieorganicznej. Uwaga zwrócona na ten skrypt przez Wydawnictwo PWN zaowocowała propozycją, by napisać dla nich całkiem nowy podręcznik chemii nieorganicznej lub ogólnej i taka była geneza mojego podręcznika, używanego obecnie również przez studentów chemii, który dotąd ukazał się w kilku wydaniach, ulegając stopniowo modernizacji i aktualizacji. Stopniowo z „Chemii

nieorganicznej i ogólnej” stał się obecnymi „Podstawami chemii nieorganicznej”. Tak się złożyło, że termin oddania do druku tej ostatniej postaci książki przypadał w grudniu 1981, a więc tuż po wprowadzeniu stanu wojennego. Wspominam jak maszynopis (nikt jeszcze nie używał komputera do pisania) ważący ponad 10 kg odwoziłem do krakowskiego Oddziału Wydawnictwa PWN, korzystając z jakiegoś pożyczonego wózka.

Nasz zespół w Katedrze Chemii Nieorganicznej na Wydziale Ceramicznym stopniowo wzrastał. Przybyli do niego Jerzy Dereń oraz Jerzy Haber (ten ostatni formalnie pracował w Katedrze Chemii Ogólnej Wydziału Odlewniczego AGH kierowanej przez prof. Wilhelma Staronkę), obydwaj wybitnie uzdolnieni. Swoją pracę naukową rozpoczynali po ukończeniu studiów w Katedrze Chemii Jądrowej UJ organizowanej przez prof. Ignacego Złotowskiego, przeniesionej później do Warszawy. W naszej katedrze Jerzy Dereń przygotował rozprawę doktorską na temat zastosowania pomiaru przewodnictwa elektrycznego mieszanin tlenków metali przejściowych w czasie, gdy pomiędzy nimi zachodzi reakcja w stanie stałym.

Obydwaj moi współpracownicy i przyjaciele w tym okresie rozpoczęli także badania zmian przewodnictwa elektrycznego półprzewodnikowych katalizatorów tlenkowych w czasie trwania na ich powierzchni procesu katalitycznej dehydrogenizacji etanolu. Badania te zapewniły Dereniowi i Haberowi liczące się miejsce wśród pokolenia kończącego studia już po wojnie. Tematyka ta, bardzo aktualna w okresie gdy w nauce o katalizie zwrócono uwagę na procesy elektronowe towarzyszące katalizie, była tematem rozprawy doktorskiej Jerzego Habera. Uzyskane rezultaty zostały dopuszczone do przedstawienia na Międzynarodowym Kongresie Katalizy w Paryżu w 1960 r.

Wracam jednak do naszego zespołu w Katedrze Chemii Nieorganicznej Wydziału Ceramicznego. Do jego szczęśliwego skompletowania przyczyniła się obecność p. dr Barbary Grzybowskiej, Jerzego Słoczyńskiego mojego doktoranta, Jacka Ziółkowskiego doktoranta Jerzego Habera, a także Janusza Nowotnego, który wraz ze swoim promotorem skonstruował urządzenie do pomiaru pracy wyjścia, a następnie budował je w Bordeaux w Instytucie CNRS. Obecnie jest on profesorem na Uniwersytecie w Sydney, gdzie prowadzi badania nad fotolitycznym rozkładem wody.

Polski „październik” zapoczątkował okres zmniejszonego nacisku politycznego i umożliwił łatwiejsze kontakty naukowe z krajami Europy Zachodniej, a także kontakty z innymi krajami socjalistycznymi.

Z inicjatywy prof. Stanisława Malinowskiego z Politechniki Warszawskiej zaczęły się odbywać wspólne kolokwia polsko-czeskie, a następnie od 1968 r. kolokwia polsko-francuskie, powtarzane kolejno co dwa lata: w Warszawie, Poitiers, Krakowie, Lyonie, Toruniu. Kolokwia te z reguły kończyły się wycieczką. W ten sposób poznawaliśmy niektóre rejony Francji: zamki nad Loarą, okolice Lyonu, fascynujący klasztor i zabudowania średniowieczne Mont St. Michele, a nawet wybrzeże atlantyckie. Były one szczególnie atrakcją dla naszych młodszych kolegów i zapoczątkowały długoletnią współpracę naukową w dziedzinie katalizy pomiędzy Polską i Francją. W tym okresie też na zaproszenie prof. Marcela Prettre, założyciela Instytutu Katalizy w Lyonie, miałem w tym Instytucie serię kilku wykładów na temat tlenku niklu jako półprzewodnika i katalizatora.

W 1956 r. prof. Michał Śmiałowski, sekretarz Wydziału III PAN, zaproponował mi wyjazd do Moskwy na konferencję katalityczną. Był to mój pierwszy wyjazd do Związku Radzieckiego. Jechałem tam pocią-

giem kilkanaście godzin. Na dworcu w Moskwie czekał na mnie prof. Fiodor Fiodorowicz Wolkenstejn, twórca elektronowej teorii chemisorpcji i katalizy na półprzewodnikach. Prace Wolkenstejna na ten temat (Teoria Wolkenstejna) czytywaliśmy często. Okazało się jednak, że i Rosjanie znali nasze prace dotyczące tych zagadnień. Wolkenstejn został wydelegowany na dworzec kolejowy, by odebrać gościa na rosyjskie kolokwium katalityczne prowadzone przez Simona Naumowicza Rogińskiego. Wolkenstejnowi powierzono opiekę nad mną na cały czas pobytu w Moskwie. Tak się zaczęła nasza przyjaźń z Fiodorem. Tego samego dnia wieczorem byliśmy z Wolkenstejnami w Teatrze Wielkim na przedstawieniu baletowym „Romeo i Julia” Prokofiewa.

Kolokwium katalityczne było zdominowane przez postać Simona Naumowicza Rogińskiego, jednego z czołowych badaczy katalizy w ZSRR. Oprócz mnie zaproszono kilku innych gości z krajów socjalistycznych: Rumunii prof. Angelescu, pani Raluca Rfipan, z Czechosłowacji dr Jech oraz profesor z Niemiec wschodnich. Między atrakcjami, które zaoferowano zagranicznym gościom, były odwiedziny we wnętrzu Mauzoleum na Placu Czerwonym. Było to dość niezwykle przeżycie, kiedy można było rzucić okiem na mumie Lenina i Stalina dobrze zakonserwowane w oszklonych gablotach.

Wolkenstejn okazał się być bardzo miłym i gościnnym człowiekiem. Jak się okazało, jego ojczymem był Aleksy Tołstoj (pisarz i znany autor opowieści o Piotrze Wielkim), pochodzący z rodziny wielkiego Aleksego Tołstoja. Matka Fiodora była podobno sławną piękną w salonach przedrewolucyjnego Petersburga. Po Rewolucji cała rodzina spędziła kilka lat na emigracji i mój przyjaciel uczęszczał do szkół w Niemczech i Francji, dzięki czemu dobrze mówił po francusku. Do Rosji wrócili w latach 1920-tych, a Tołstoj „okupił swój wyjazd zagraniczny” napisa-



niem książki o Piotrze Wielkim, postaci która zrewolucjonizowała Rosję i korzystając ze swojej pełnej władzy zmusiła do modernizacji. Wielkości tego cara miała odpowiadać wielkość Stalina, „wielkiego reformatora i wodza narodu”.

W dwa lata później Wolkensztejn został zaproszony do Krakowa jako gość Uniwersytetu Jagiellońskiego. Miał tutaj doskonałe wykłady o swojej teorii. Nie bacząc na pochodzenie naszego gościa z kraju nie cieszącego się sympatią w Polsce, zastosowaliśmy wobec Fiodora zasadę: „Freedom of speech”. W chwili pożegnania powiedział mi: „Czułem się w Krakowie bardzo dobrze. Lepiej niż w Moskwie”. Od tej pory każda wizyta w Moskwie, moja lub Jurka Derenia czy Habera, obejmowała odwiedziny w domu Wolkensztejnów w atmosferze wręcz rodzinnej gdzie można było rozmawiać otwarcie na każdy temat.

W Moskwie bywałem stosunkowo często. Niezależnie od Międzynarodowego Kongresu Katalizy w 1968 r. odbywały się tam coroczne spotkania zespołu koordynującego współpracę krajów „Paktu Warszawskiego” w dziedzinie katalizy. W mojej pamięci pozostało nieco humorystyczne zakończenie Kongresu w Moskwie. Odbywało się ono w Sali Zjazdów na Kremlu. Szefowie różnych zagranicznych delegacji siedzieli za wielkim stołem na oficjalnym podium i uprzejmie dziękowali za dobrą organizację Kongresu i gościnność gospodarzy. Przedstawiciel obydwu części Niemiec pochodzący z Berlina Wschodniego podziękował w imieniu obydwu delegacji wschodniej i zachodniej. W chwilę później do mikrofonu podszedł nie zapowiedziany prof. Schwab z Monachium i podziękował w imieniu delegacji z Niemiec Zachodnich. Dla nas z Polski „Socjalistycznej” sens tego ostatniego wystąpienia był oczywisty.

W czasie mojego pierwszego pobytu w Moskwie poznałem także prof. Boreskowa, przyszłego organizatora Instytutu Katalizy w Nowosybir-

sku. Czynny był w Moskwie po swoim powrocie z łagru prof. Bałandin, znakomity twórca pojęcia czynnika geometrycznego w katalizie. W laboratorium Bałandina pracował Zdzisław Dudzik z Uniwersytetu Poznańskiego i uzyskał tam dyplom kandydata. Po powrocie do kraju Dudzik zajął się zeolitami i reakcjami związków zawierających siarkę.

Podczas moich licznych wizyt w Moskwie podziwiałem mistrzostwo Rosjan w pisaniu pięknych sprawozdań nawet i wtedy, gdy współpraca była znikoma.

W grudniu 1956 r. udało mi się wyjechać do Szwecji, do Goeteborga i Sztokholmu. W Goeteborgu poznałem nareszcie prof. Hedvalla twórcę chemii reakcji w stanie stałym. Był to elegancki i bardzo sympatyczny



Profesor Bielański nie stronił również od tańca

starszy pan, który od razu na wstępie naszej znajomości informował mnie, że ma niezbyt wysokie mniemanie o szwedzkim ministrze finansów. Prof. Hedvall był wybitnie zainteresowany archeologią. W kilka lat później po otrzymaniu zaproszenia ze strony Polskiego Towarzystwa Chemicznego napisał do mnie list z prośbą o zorganizowanie dla niego wycieczki do Biskupina, gdzie jeszcze przed wojną odkryto prehistoryczną osadę słowiańską. Dzięki pomocy prof. Grzymka pełniącego wówczas funkcję wiceministra wycieczka bardzo się udała.

# Profesor Bielański

## jako nauczyciel

---

Profesor Bielański podporządkował swoją działalność dwóm kierunkom. Po pierwsze układał możliwie najlepszy program kształcenia studentów Wydziału Ceramicznego, a po drugie podjął aktywną działalność w celu utworzenia Katedry Chemii jak najlepszej i najbliższej nauk ceramicznych. Z tego względu wszystkie doktoraty prowadzone w Katedrze dotyczyły zagadnień związanych z tymi naukami. Oto kilka przykładów: profesor w swoich wspomnieniach wymienił pierwszy doktorat Anny Kłos, który dotyczył właściwości tlenku glinu, a więc czegoś z tematyki technologii otrzymywania tlenku glinu profesora Grzymka. Doktorat późniejszego profesora Nedomy był poświęcony przemianom polimorficznym  $\gamma$ - $\alpha$   $\text{Na}_2\text{BeF}_4$ , który jest doskonałym modelem dla krzemianu dwuwapniowego. Przechodzi wszystkie przemiany polimorficzne, znane w przypadku  $\text{Ca}_2\text{SiO}_4$ , tylko w niższych temperaturach. Krzemian dwuwapniowy jest fazą bardzo ważną w chemii cementu.

Równocześnie, w związku z brakiem podręczników z chemii w języku polskim i w ogóle dostępnych w księgarniach, profesor Bielański duże znaczenie przywiązywał do opracowywania takich książek i pisał je sam. W pierwszej połowie lat pięćdziesiątych ukazało się kilka wydań podręczników z chemii jego autorstwa. Przede wszystkim trzeba wymienić podręcznik „Chemia fizyczna dla studentów wydziału ceramicznego” wydany przez PWN już w roku 1954. Muszę także wspomnieć o doskonałej książce pod tytułem „Chemia Ogólna i Nieorganiczna”, PWN, War-

szawa 1969, której ósme wydanie w roku 2010 mam z dedykacją mojego wielkiego Profesora. Bardzo często korzystam z tego wspaniałego dzieła, a żeby nie być gołosłownym w ostatnich latach uczyłem się równania Arrheniusa. Jest bowiem takie podejście u niektórych autorów, którzy wykorzystują to prawo do obliczenia wytrzymałości betonu, co oczywiście nie ma sensu. Można w tym celu stosować proste równanie empiryczne zaproponowane przez Carino i in. – energię aktywacji zastąpili wykładnikiem potęgowym B, nazwanym „czynnikiem wpływu temperatury”.

Przy korzystaniu w pracy z książek zawsze stosuję doskonałą radę profesora Bielańskiego, cytuję: „proszę nigdy nie czytać całej książki, proszę tylko wybierać te fragmenty, które są potrzebne do zrozumienia rozpatrywanego zagadnienia”.

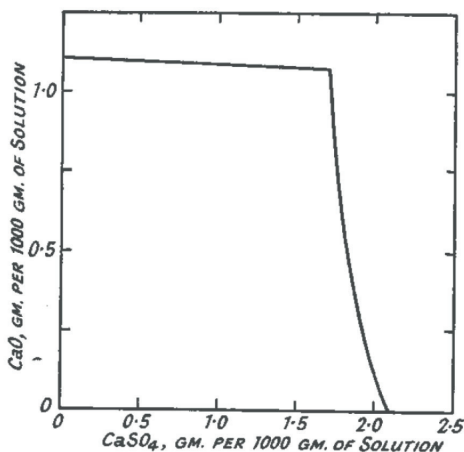
Trzeba podkreślić, że ta dbałość profesora Bielańskiego o odpowiednie dostosowanie prac naukowych Katedry do kierunków kształcenia na Wydziale nie jest zjawiskiem powszechnym. Profesorowie chemii mają swoje upodobania, które wynieśli z doktoratu lub habilitacji, ewentualnie z Katedry Chemii, w której się kształcili. Dalej utrzymują te kierunki badawcze, nie dostosowując ich do kierunków kształcenia, które są uprawiane na „macierzystym” wydziale. Znam wiele takich przykładów; jest to rozwiązanie najwygodniejsze dla takiego kierownika, nie zmusza go bowiem do zmiany kierunku badań i związanej z tym koniecznością „uczenia się” innych działów chemii. Czy jednak jest to korzystne dla studentów? Jest przecież przekonanie, że badania wzbogacają wykłady, a przede wszystkim kształcą pracowników Katedry w celu lepszego poznania zagadnień ważnych dla studentów, których kształcą. Moim zdaniem studenci szybko „wyczuwają”, czy wykładowca zna dobrze zagadnienie będące przedmiotem wykładu, czy tylko przygotował wykład na podstawie odpowiedniego podręcznika.

Egzamin z podstaw chemii i chemii nieorganicznej zdałem bardzo dobrze u profesora Bielańskiego. Natomiast zaproponował, żebym egzamin z analizy chemicznej zdawał u asystentki – mgr Anny Kłos. Powiedziałem, że znam ją dobrze, gdyż mieszkała ona w Krzeszowicach, a nasze rodziny się przyjaźniły. Profesor Bielański podtrzymał swoją decyzję, znał bowiem Hanki podejście do egzaminu i wiedział, że będzie bardzo wymagającym egzaminatorem. Tak też było, a na końcu egzaminu Hanka powiedziała: bardzo miło się z tobą rozmawia, a notę dostałem bardzo dobrą. Hanka była bardzo miłą i wesołą dziewczyną w latach młodości, a nasze wycieczki do lasu były pełne humoru. Lubiła śpiewać krótkie wierszyki, na przykład taki: „Po łące skacze cielak młody, po prześcieradle skaczą pchły i rybka skacze też do wody, a w moim sercu skaczesz ty”. Nie przeszkadzało jej to w bardzo dobrym przygotowaniu z chemii, którą studiowała w UJ i szybko zrobiła doktorat w katedrze profesora Bielańskiego. Profesor Bielański bardzo trafnie oceniał pracowników i Kłos miała u profesora bardzo dobrą ocenę. Wyszła za mąż za Jerzego Sędzimira, o którym profesor wspominał w opisie swojej pracy w Katedrze Chemii na Wydziale Metalurgicznym, kierowanej przez profesora Juliana Kameckiego. Sędzimir także stosunkowo szybko został profesorem, a małżeństwo to należało do grona najlepszych przyjaciół profesora Bielańskiego.

Profesor Bielański był wyrocznią na naszym Wydziale i w przypadku różnych trudności, na przykład w opracowywaniu prac dyplomowych, studenci zgłaszali się do niego z prośbą o pomoc. Ja sam byłem w tej sytuacji przy wykonywaniu pracy magisterskiej. Pomagałem kilku gorzej przygotowanym kolegom, a sobie zostawiłem tylko trzy tygodnie, gdyż moja praca wydawała się bardzo prosta. Opierała się ona na badaniach Camerona i Bella, których krzywe równowagowe rozpuszczalno-

ści w wodzie  $\text{Ca(OH)}_2$  i  $\text{CaSO}_4$  Lea cytuję w swojej monografii „Chemistry of Cement and Concrete”. Pokazałem ją na poniższym rysunku. Miałem do nasyconego roztworu  $\text{Ca(OH)}_2$  wkraplać powoli roztwór wodny gipsu, co powinno powodować krystalizację portlandytu, czyli heksagonalnych kryształów wodorotlenku wapnia. Tak jak prawie pionowo do osi odciętych opada krzywa na wykresie. Proste, szybkie doświadczenie. Niestety doświadczenie nie przebiegało w ten sposób – nic nie krystalizowało. Poszedłem więc do profesora Bielańskiego i zreferowałem mu swój problem. Profesor, już wówczas prorektor AGH, spieszył się na posiedzenie Senatu, więc tylko zapytał: co to jest punkt przecięcia się krzywych? i wysłuchawszy mojego wyjaśnienia podanego wyżej, przeprosił, udając się na posiedzenie Senatu.

Późnym popołudniem wróciłem do Akademika w Osiedlu Kapelanka, w którym miałem pokój razem z Andrzejem Kielskim, specjalistą w dziedzinie materiałów ogniotrwałych, późniejszym profesorem AGH. Andrzeja jeszcze nie było. Nie rozbierając się, położyłem się na łóżku, myśląc



„Krzywa Camerona i Bella”,  
czyli izoterma układu  
 $\text{Ca(OH)}_2$ - $\text{CaSO}_4$ - $\text{H}_2\text{O}$  w 25°C

bez przerwy: co to jest ten punkt? Rano udałem się do biblioteki Katedry Chemii UJ; znalazłem czasopismo z roku 1936 i artykuł Camerona i Bella. Przeczytałem, że jest to punkt równowagowy, uzyskany z przecięcia płaszczyzn równowagowych rozpuszczalności  $\text{Ca}(\text{OH})_2$  i  $\text{CaSO}_4$  w temperaturze  $25^\circ\text{C}$ , układu  $\text{Ca}(\text{OH})_2\text{-CaSO}_4\text{-H}_2\text{O}$ . Temat mojej pracy załamał się, ale nie straciłem optymistycznego nastroju i poszedłem, pod wpływem dobrego odruchu, do Ośrodka Informacji Instytutu Przemysłu Wiążących Materiałów Budowlanych, który wówczas znajdował się w Budynku „Herbewo” w Alejach Słowackiego. Poprosiłem o roczniki czasopisma „Zement” z lat trzydziestych i miałem szczęście: w roczniku 1935 znalazłem artykuł sławnego specjalisty z chemii cementu profesora Hansa Kühla, który dotyczył katalitycznego wpływu jonów siarczanowych na krystalizację portlandytu. Byłem uratowany; odwróciłem doświadczenie: do nasyconego roztworu siarczanu wapnia wkraplałem roztwór  $\text{Ca}(\text{OH})_2$ . Krystalizował portlandyt! Tak oto bardzo krótka rozmowa z profesorem Bielańskim uratowała moją pracę magisterską.

Kolejnym przykładem jest profesor Andrzej Kielski, który to wspomnienie o profesorze Bielańskim opisuje tak: „Pana profesora Adama Bielańskiego poznałem na pierwszym roku studiów na Wydziale Ceramicznym. Prowadził wówczas świetne wykłady z chemii ogólnej i nieorganicznej, przy czym duży nacisk położył na podstawy chemii ciała stałego. Już jako asystent na tym Wydziale pracę doktorską z zakresu technologii chemicznej wykonywałem pod kierunkiem innego znakomitego profesora, który jednocześnie był znany jako wielki formalista. Przekonałem się wkrótce o tym. Mianowicie, prowadząc badania, odczuwałem potrzebę przedyskutowania tego, co zrobiłem, i chodziłem z tym do mojego promotora. W trakcie trzeciej wizyty profesor pokazał mi ustawę o stopniach i tytułach naukowych, oświadczając, że zgodnie



z jej ustaleniami praca doktorska jest pracą samodzielną. Po znacznym zaawansowaniu badań odczuwałem nadal potrzebę dyskusji i poszedłem w tej sprawie do profesora Bielańskiego, który był dla nas wielkim autorytetem. Profesor zaprosił mnie na zebranie Katedry Chemii Nieorganicznej, której był kierownikiem. Uwagi, które usłyszałem po zreferowaniu pracy, były dla mnie niezwykle cenne i ogromnie pomogły mi w obronie pracy doktorskiej w roku 1961. Za tę pomoc jestem panu profesorowi Bielańskiemu bardzo wdzięczny i wiedziałem, że zawsze można na Niego liczyć."

Profesor Bielański miał zamiar objęcia Katedry Chemii na Wydziale Chemii UJ po przejściu na emeryturę profesora Jakóba z Uniwersytetu we Lwowie. Profesor Jakób zaproponował profesorowi Bielańskiemu objęcie po nim tego stanowiska. Opuścił więc Akademię Górniczą, zostawiając jednak dobrze obsadzoną Katedrę Chemii, a jej kierownikiem zo-



Profesor Bielański podczas wystąpienia w czasie swojego Jubileuszu

stał uczeń profesora, bardzo wartościowy chemik – profesor Jerzy Dereń. Profesor Bielański bardzo wysoko oceniał jego opanowanie chemii, a także jego inteligencję i poczucie humoru. Lubił opowiadać anegdotę związaną ze studenckimi latami Derenia, a dotyczącą jego „przygody” z wiązaniem muszki. Wybierając się z drugim kolegą na zabawę noworoczną, wpadli na pomysł, żeby zamiast krawatów ozdobić kołnierzyk koszuli muszką. Kupno muszek nie nastęczało trudności, jednak gorzej było z wiązaniem. Dereń wpadł na pomysł, żeby w książce telefonicznej znaleźć prawnika, bo on na pewno będzie umiał wiązać muszkę. Zadzwonili do nieznanego mecenasa, który stanął na wysokości zadania, ucząc młodych ludzi, jak wiązać muchę. Kierowanie katedrą chemii przez profesora Derenia niestety nie trwało długo; stosunkowo w bardzo młodym wieku umarł na raka nerek. Zakończyło to dobre związki katedry z kierunkiem chemii związanej z ceramiką, a stopniowo zaczęły przeważać inne kierunki badań.

Związki z AGH profesora Bielańskiego nigdy nie ustały – 27 czerwca 1983 roku otrzymał tytuł Doktora Honoris Causa naszej uczelni. Rów-



Ogólny widok stołu  
prezydyjnego w trakcie  
uroczystości Stulecia

nocześnie prowadził wielokrotnie wykłady z chemii w ramach odbywającego się dosyć często „Studium Drugiego Wieku”. Bardzo lubił wykładać i sprawiało mu to wielką przyjemność. Pracował bez przerwy w Instytucie Katalizy PAN, mając dwie chemiczki do pomocy, przy czym jego badania dotyczyły ważnych zagadnień z katalizy.

## Jubileusz

Jak to w życiu jest, lata mijały szybko i nadeszła wielka setna rocznica urodzin Profesora. Zostałem zaproszony na tę uroczystość, która odbyła się w Instytucie Katalizy, i nawet znalazłem się w gronie „mówców”. Bardzo miłe wystąpienie miał profesor z Łodzi, który nawiązał do Drzewa Genealogicznego Profesora. Stosunkowo krótko mówił profesor Sędzimir, natomiast ja przedstawiłem znaczenie Profesora dla Wydziału Ceramicznego oraz jego zaangażowanie w pomoc studentom i jego wielką życzliwość dla młodych adeptów nauk chemicznych.

Stwierdziłem ze zdziwieniem, że Dziekan Wydziału Ceramicznego AGH zapomniał o tym Wielkim Jubileuszu! Musiałem więc zająć się sprawą sam. Nie pracowałem już wówczas w AGH, lecz w Instytucie Przemysłu Wiązanych Materiałów Budowlanych, jednak postanowiłem wykorzystać Komisję Nauk Ceramicznych PAN, powiązaną ściśle z Wydziałem, której byłem przez szereg lat przewodniczącym. Miałem trochę kłopotów, bo Komisja została zawieszona przez Przewodniczącego Krakowskiego Oddziału PAN, którym w tym okresie był Rektor AGH profesor Ryszard Tadeusiewicz. Porozmawiałem z Rektorem, który podszedł do sprawy bardzo przychylnie i zezwolił przeprowadzić wybory przewodniczącego Komisji, które nie odbyły w regulaminowym czasie, i odwołał „zawieszenie”. Miałem więc wolną rękę do zorganizowania posiedzenia Komisji, poświęconej tej wspólnie rocznicy.

Zaprosiłem oczywiście władze AGH i Wydziału, także znanych profesorów tego Wydziału oraz przyjaciół profesora Bielańskiego z profesorem Sędzimirem i jego żoną na czele. Udział wzięli Rektor AGH profesor Ryszard Tadeusiewicz oraz Prorektor profesor Jerzy Lis, a także wszyscy znani profesorowie, w tym Roman Pampuch, Stanisław Mrowec, a nawet Jacek Śliwiński z Politechniki Krakowskiej.



Jubilat z prorektorem profesorem Jerzym Lisem

Działalność i znaczenie profesora dla Wydziału omówił profesor Leszek Stoch, obok mnie, a także Zbyszka Daniszewskiego i Danuty Luśniak-Wójcickiej. Wszyscy byliśmy studentami „pierwszego naboru” na Wydział Mineralny.

Jubileuszowe posiedzenie Komisji obfitowało w wiele przyjemnych sytuacji: profesor Józef Widaj, student profesora, „o rok młodszy” od naszej grupy, wręczył profesorowi wspaniały flakon ceramiczny z odpowiednią dedykacją. Student Widaj był bardzo lubiany przez profesora, gdyż wspaniale opiekował się ubogimi studentami.



Wystąpienie profesora Mrowca



Zakończenie: profesor Józef Widaj będzie wręczał flakon, a my bukiet róż



Profesor Bielański odbiera flakon od profesora Widaja

Na zakończenie: Danka, Leszek i ja w trójkę wręczyliśmy profesorowi bukiet czerwonych róż. Profesor podziękował i zaraz wskazał palcem fotel, na którym siedziała Hanka Kłos-Sędzimir. Pobiegłem szybko dookoła, żeby uczestniczyć we wręczeniu przez profesora bukietu jego pani adiunkt z Katedry Chemii w AGH.



Jubilat wskazuje komu wręczy kwiaty



Profesor Bielański wręcza bukiet róż pani Kłos-Sędzimir



Pani Kłos-Sędzimir z bukietem róż

W roku 2005 Rada i Zarząd Dzielnicy Siódmej-Zwierzyniec nadała profesorowi Bielańskiemu tytuł Zasłużonego dla Dzielnicy, wręczając symboliczną statuetkę przedstawiającą Kopiec Kościuszki z głową Marszałka Piłsudskiego, autorstwa Bolesława Chromego. Ten tytuł Rada przyznawała jeden rocznie, a uroczystość odbyła się w Domu Zwierzy-

nieckim przy ulicy Królowej Jadwigi, w którym obecnie znajduje się filia Muzeum Krakowa. O tym odznaczeniu pomyślał zastępca Przewodniczącego Rady, student profesora i jego towarzysz z Filharmonii Zbigniew Daniszewski. Często spotykali się na przystanku tramwajowym jedyńki po koncercie i Zbyszek opowiadał mi taką przygodę z roku 2006. Nie ma tramwaju, profesor Bielański spojrział więc na rozkład jazdy i powiedział: panie Zbigniewie tramwaj będzie dopiero za 8 minut chodźmy więc spacerkiem. Niestety Zbyszek ma od urodzenia problemy z lewą nogą i chodzenie sprawia mu kłopoty, z tego powodu przeprosił i profesor pomaszerował sam.

## Spotkania urodzinowe

Od początków utworzenia Katedry Chemii Nieorganicznej na Wydziale Ceramicznym AGH były organizowane w okolicy urodzin profesora Bielańskiego, które wypadały 14 grudnia, spotkania wszystkich współpracowników profesora. Ale nie tylko tę datę świętowano. Dobrą



Spotkanie Urodzinowe w AGH, w końcu lat pięćdziesiątych



okazją do spotkań przy ciastku i kawie były także „Dzień dziecka” organizowany przez panie dla panów, czy też „Dzień Kobiet”.

Tradycja takich spotkań towarzyskich była kontynuowana po objęciu przez profesora Bielańskiego Katedry Chemii na Uniwersytecie Jagiellońskim. W ich trakcie odczytywano różne referaty na temat Szefa czy też urządzano konkursy wiedzy o nim. Na emeryturze, czyli po przejściu Profesora do pracy w Instytucie Katalizy PAN, gdzie był zatrudniony do śmierci, spotkania odbywały się w pokoju Ojca na UJ lub w tym Instytucie, a w ostatnich latach kilka razy w restauracji „Kawaleria”, prowadzonej przez przyjaciół profesora pp. Łódzińskich. Ostatnie spotkanie odbyło się w roku 2013.

# Zakończenie

---

Rzetelne i wyczerpujące przedstawienie osobistego wkładu profesora Bielańskiego w tworzenie Wydziału Ceramicznego należy do bardzo trudnych i odpowiedzialnych zadań. Podjąłem się tego zadania, gdyż uważałem, że jest to moim obowiązkiem, jako studenta, którego całe życie zawodowe, a przede wszystkim naukowe, zostało ukształtowane przez tego Wielkiego Naukowca. Nie tylko rzetelne przygotowanie z chemii ogólnej i nieorganicznej, ale może przede wszystkim styl pracy Profesora wywarł na mnie nieprzemijający wpływ. Złożyły się na to nie tylko wspaniałe wykłady, ale przede wszystkim sposób traktowania młodych ludzi: przyjacielski, a równocześnie wymagający, bardzo grzeczny, ale stanowczy. Profesor był wspaniałą, szlachetną osobowością, miał pełne zaufanie do każdego studenta, co powodowało, że ten młody człowiek starał się nie zawieść tego zaufania. Stanowiło to dla mnie niejako przedłużenie dobrego wychowania, jakie wyniosłem z domu, przede wszystkim codziennej szkoły mojego ojca. Profesor Bielański potrafił stworzyć wspaniałą atmosferę na Wydziale, co miało nawet niezwykle korzystny wpływ na aktywność wydziałowej organizacji partyjnej. Ci działacze partyjni starali się upodobnić do profesora, co pozwoliło nam – najstarszemu rocznikowi na Wydziale, zachować pewną uprzywilejowaną pozycję, pomimo że mieliśmy w naszym gronie tylko jednego członka partii. Był to wspaniały kolega Czesław Harańczyk, późniejszy profesor geologii w Uniwersytecie Jagiellońskim. Został wyrzucony z partii, bo nie donosił na kolegów, ale Gomułka przywracał takim osobom członkostwo.

Profesor Bielański zapisał się w kronikach Wydziału jako wybitna osobowość, twórca tego Wydziału, jednego z pierwszych w Europie o takim profilu nauczania. Dzięki swojej ogromnej wiedzy Profesor miał „wizję” programu nauczania na tym kierunku, a przede wszystkim przygotowania absolwentów – technologów, do pracy w tym dziale wysokotemperaturowej inżynierii chemicznej.

Profesor Bielański cieszył się wspaniałym zdrowiem i, jak słusznie zauważyli jego współpracownicy, „zgubił 50 lat”. Zmarł w wieku 104 lat i jest pochowany na cmentarzu na Salwatorze, w rodzinnym grobie.

# Dodatek

---

Pracownicy Katedry Chemii w Uniwersytecie Jagiellońskim o Profesorze Bielańskim, swoim Szefie

Rozprawa rehabilitacyjna

pt. „SZEFA NASZEGO PRZYPADKI W UJĘCIU URODZINOWYM”

## Wstęp

Niniejsza praca jest efektem wieloletnich obserwacji naszego Szefa – obserwacji czynionych dyskretnie, przez pokolenia jego studentów, doktorantów i współpracowników. Obserwacje zostały zebrane, opisane i zinterpretowane w sposób naukowy, zatem jako rzetelne opracowanie nie powinny Szefa obrazić. Ale na wszelki wypadek na wstępie odpukajmy w niemalowane drewno – Profesor w takich sytuacjach puka się w czoło. Prosimy więc o wybaczenie, tym bardziej, że przy przygotowaniu tej pracy nie mogliśmy korzystać z „...najlepszych materiałów źródłowych...” to jest A. Bielański – „Podstawy Chemii Nieorganicznej”, w przypadku bowiem niniejszej rozprawy sięganie do tych materiałów było bezcelowe.

# Część experimentalna – materiały:

---

## Profesor i Współpracownicy

Pan Profesor jako człowiek kulturalny, spokojny i opanowany nigdy w pracy nie okazuje swego zdenerwowania, a zawsze z uśmiechem pyta: ... „Co nowego słychać DROGIE DZIECI”... Tak mówi o nas, urodzonych po wojnie, natomiast o tej starszej generacji z Polskiej Akademii Umiejętności mówi „smarkacze”, gdyż do osiemdziesiątki brakuje im aż kilku lat.

W trakcie omawiania wyników prac, w rozmowie z dowolnym ze swych współpracowników zwraca się np. „pani Alu”. Ale jeśli pani Ala ma inne zdanie, Szef przechodzi z „pani Alu” na „Szanowna pani Alu”. Jeśli pani Ala nadal nie rozumie i nieustająco swoim uporem denerwuje Szefa, słyszy zwrot „Pani Doktor”. Gdy w dalszej części rozmowy usłyszy „Szanowna Pani Doktor” – oznacza to, że przekroczyła wszelkie dopuszczalne granice i doprowadziła Szefa do furii. Po usłyszeniu „Szanowna Pani Doktor” należy natychmiast zrezygnować ze swojego zdania i uporu, a przyjąć za jedynie słuszną i prawdziwą koncepcję szefa.

Profesor, jako wspaniały polityk, stosuje bardzo często podstawową zasadę w polityce, a mianowicie „polityk nigdy nie mówi NIE”. Stosując konsekwentnie tę zasadę, gdy należałoby powiedzieć sakramentalne NIE, wkłada ręce do kieszeni, przekręca się na pięcie i lekko pogwizdując wychodzi z pokoju, pozostawiając losowi lub co gorsze delikwentowi konieczność wypowiedzenia kategorycznego „nie”. Ma w sobie coś z prezydenta. Dokładnie bowiem tak samo zachowywał się Ronald Reagan w niezręcznych sytuacjach.

Profesor wykazuje dużą dozę cierpliwości, wysłuchując nużących go czasami opowieści. Ale to wszystko do czasu. Gdy ma absolutnie dość,

„politycznie” sięga po dowolny dokument będący w zasięgu ręki i zatapia się w lekturze.

Z kręgów polityczno-ministerialnych Warszawy przywiózł nam Profesor anegdotę: ...

„Czy znacie Drogie Dzieci najkrótszą odpowiedź na pisemne zaproszenie. Otóż brzmi ona: D.U.P.A. Konsternacja. Już tłumaczę – dziękuję uprzejmie, przybędę akuratnie.”

Szef uczy dyplomacji także swych pracowników, radząc: ... „jeżeli będzie pani miała jakieś trudności z załatwieniem tej sprawy, to proszę powiedzieć, że musi pani to załatwić, bo STARY się uparł”. Metoda ta sprawdzona została wielokrotnie i działa doskonale, ale chyba tylko dlatego, że ten STARY – to właśnie nie kto inny a Prof. Adam Bielański, powszechnie lubiany i szanowany.

## **Wyniki. Część 1: szef o sobie**

Pewnego razu Szef nadszedł akurat w momencie, gdy ktoś przygotowywał do pracy długo nieużywany mikroskop, odkurzając stolik za pomocą pędzelka. Pędzelek był „przechodzony” i dość intensywnie rozsypywał włosy na stolik. Profesor przyglądał się całej tej operacji przez jakiś czas, po czym, gdy w pędzelku pozostało już zaledwie kilka włosów, rzekł biorąc pędzelek z rozrzewnieniem do ręki: „Ten pędzelek zachowuje się tak, jak ja 20 lat temu”.

Podczas powrotu z kolejnej konferencji w Jenie, w czasach, gdy w Polsce były olbrzymie braki na rynku, każdy się chwalił oglądając poczynione zakupy. Szczególne zainteresowanie wzbudzały szampony. Przysłuchując się rozmowom na temat szamponów, Szef powiedział: „Drogie dzieci – ja ten problem mam już za sobą”.

Kiedy pojawia się problem szkodliwości par rtęci, że trująca, że włosy wypadają, Szef podważa naukową słuszność tych obserwacji stwierdzając: „Podczas pracy na AGH niejednokrotnie destylowałem rtęć, a nawet gotowałem ją w otwartym naczyniu. Rtęć wcale nie wpływa szkodliwie na włosy – wystarczy popatrzeć na mnie”.

Szef często wyjeżdża i wtedy nie raz słyszy: „Szkoda, że Pan Profesor wyjeżdża”. W odpowiedzi Szef przytacza następującą opowieść: „W czasach, gdy byłem jeszcze docentem na AGH, mój współpracownik Olek Kotliński zawsze mi mówił – Ty, Adaś, jesteś wspaniałym szefem, ale najlepszym jesteś wtedy, gdy Cię nie ma”.

## **Wyniki, część 2: Profesor jako wychowawca i nauczyciel**

Jako wspaniały nauczyciel i wychowawca Profesor patrzy na studentów życzliwie, ale i wielostronnie, postrzegając oprócz wiedzy również inne ich zalety i wady. Na przykład po egzaminie panny Górnicówny stwierdził: ... „ależ Jurek będzie miał magistrantkę!!! Za wiedzę dałem jej 4.5, ale za aparycję dostała 5.0”... Nie zawsze jednak przychyłność Szefa bywała tak wielka. Jak bowiem wieść niesie, gdy Marek Boczar zdawał egzamin doktorski, zaobserwowano zgoła inne zachowanie Szefa. Doktorant w trakcie odpytywania nagle zbladł i osunął się na ziemię. Natychmiast przystąpiono do reanimacji młodego człowieka. Ułożono Marka na ławie, a główny egzaminator (wiadomo kto) podtrzymywał nogi doktoranta w górze. Gdy delikwenta ocucono, przystąpiono do dalszej części egzaminu, aby (jak to było powiedziane) „nie stwarzać precedensu”. Głównym egzekutorem był nasz Szef.

Profesor wielu swoich wychowanków wyprowadził na wielkich ludzi.

Los sprawił, że niektórym przypisane było imię JERZY. Zwykł mawiać: „Moimi pierwszymi uczniami było dwóch Jurków, jeden był

*... i w roku 2012*



Przedostatnie spotkanie urodzinowe



WIELKI, a drugi DUŻY”. Natomiast do dziś nieznana nam jest jego opinia o tym trzecim Jurku – tym od grup OH.

Los sprzyjał również płci odmiennej, ale tylko jeden raz wtedy, gdy Profesor gratulował Rektorowi Uniwersytetu Jagiellońskiego wyboru swojego Prorektora.

Szef w czasie swojej pracy dydaktycznej przekazywał studentom swoją olbrzymią wiedzę w sposób niezwykle jasny i zrozumiały, gdyż jak zwykł mawiać „żeby komuś coś wytłumaczyć, najpierw samemu należy zagadnienie dobrze zrozumieć”...

Tu należy jeszcze dodać, że przekazywana wiedza to była nie tylko chemia, ale i jego zamiłowania historyczne.

I tak w trakcie nauki logarytmowania, a było to w 1980 roku, zaproponował studentom I roku, aby logarytmowali historycznie ważne daty. Po kilku datach z historii Polski przyszła kolej na zlogarytmowanie daty ostatniego rozbioru Polski. Ku zaskoczeniu całej grupy z Profesorem łącznie, student bez chwili zastanowienia powiedział: ostatni rozbiór Polski – 17 września 1939 r.

### **Wyniki, część 3: Nasz szef a płeć odmienna**

W kobiecie-chemiku Szef potrafi dostrzec nie tylko naukowca, ale również po prostu BABĘ. Oto przykład, wpadł kiedyś i powiedział: „Opowiem paniom historyjkę: – Przyszedł Wania do sklepu i pyta – czy dostanę majtki na wacie? – Na co ekspedient odpowiada, że takimi nie dysponują. Wtedy gość się odwrócił i mówi: Chodź WACIA, nie ma tu majtek dla ciebie – idziemy. I jak tu wtedy nie widzieć p. prof. Palczewskiej, zwanej powszechnie Wacią, kiedy słyszy się taką opowieść?

Im kobieta jest wyższego wzrostu, tym pełniej są dostrzegane zalety jej umysłu. Aczkolwiek nie jest to reguła. Po powrocie ze Szwecji Szeff był pełen zachwytu dla wysokich szczupłych i wysportowanych dziewczyn spacerujących w minispódniczkach po ulicach Sztokholmu, ale wiedział również, że w Krakowie w Instytucie Chemii najkrótsze mini nosi Jola Inasińska. Inni panowie-naukowcy przetestowani na tę okoliczność nie potrafili udzielić żadnej konkretnej odpowiedzi.

Wobec pań Szeff jest zawsze niezwykle uprzejmy i szarmancki. Nawet zmieniając okulary, przeprasza słowami: „Szanowne Panie pozwolą, że się przebiorę”.

Również był niezwykle szarmancki, kiedy jako początkujący kierowca proponował podwiezienie autem. – „Zapraszam Panią do samochodu, jeśli oczywiście pani się nie boi.” Nie pozostawało nic innego, jak przeżegnać się krzyżem świętym i wsiąść.

Jako doświadczony kierowca wykazuje zgoła inną reakcję, będąc pasażerem. Jak opowiada pan Czesław, kierowca służbowego Poloneza, gdy jadą do Warszawy autostradą i wskazówka szybkościomierza zbliża się do setki, Szeff delikatnie daje do zrozumienia: „A może nie musimy się aż tak bardzo spieszyć”.

Ostatnio Szeff był w Delhi. Leciał tam przez Paryż. Z podróży do Indii wrócił oczarowany niezwykłą kolorystyką i pięknem strojów, a przede wszystkim – urodą Hindusek. Gdy wysiadł w Paryżu z samolotu, stwierdził, że nie ma tam ładnych kobiet, a pani Hanka zdążyła już wrócić do Polski.

A skoro już mowa o kobietach i padają ich imiona, to przypomnijmy sytuację, jaką Szeff zafundował Joannie. Podczas pewnego spotkania imieninowego, po złożeniu życzeń solenizantowi, WSZYSCY udali się do sąsiednich pokoi po krzesła. W pokoju solenizanta został tylko Profesor

i Joanna. Gdy zebrani wrócili z krzesłami SzeF oznajmił: ... „Dziś Joasia po raz pierwszy sama mnie pocałowała”. Wszyscy znieruchomieli, a Joanna stanęła w pąsach. Dopiero po chwili konsternacji padło wyjaśnienie, że ta Joasia od całusów to po prostu trzyletnia wnuczka.

## **Wyniki, część 4: SzeF a przyrost naturalny w Instytucie**

(cytat)... „Dzięki Profesorowi urodziła się moja Elżbietka”... – wspomina pewna pani docent, opowiadając, jak to SzeF wprowadził ją w stan zdenerwowania i dlatego zaszła w nieplanowaną ciążę. Nie jest to odosobniony przypadek wpływu SzeFa na przyrost naturalny w Zespole. Innym razem Profesor zdecydował o płci małych Sojków. Wbrew przewidywaniom wszystkich oraz przecuciom przyszłej matki zawyrokował jednoznacznie: „mają to być dziewczynki”. Słowo SzeFa ciałem się stało i dwie Sojkówny przyszły na świat.

Gdy zdarzyło się, że w Instytucie urodziło się dziecko 3 miesiące po ślubie, Profesor skomentował ten fakt następująco:

„Znane są takie przypadki w medycynie, że nawet 3-miesięczne wcześniaki przeżywają, jeżeli są pierwszym dzieckiem w małżeństwie.”

W swoim czasie SzeF zauważył, że od momentu, kiedy doc. Senkowski został kierownikiem Zakładu Chemii Nieorganicznej, gwałtownie wzrosła ilość pań w stanie odmiennym. Spotkawszy wtedy Zosię na korytarzu przestrzegł ją: ... „Panno Zosiu, proszę uważać !!! – EPIDEMIA w Zakładzie”.

## Wnioski

---

Podsumowując tę pracę, należy stwierdzić, że biorąc pod uwagę ogromne poczucie humoru, radość życia i pogodę ducha, jakie cechują naszego Szefa, Profesor ma 30, góra 40 lat, co niniejszym w tej pracy udowodniono – pracy z okazji teoretycznych osiemdziesiątych urodzin Szefa. Pan Profesor po prostu zgubił 50 lat.

## Recenzenci

M. Wajbur  
S. Karcus  
A. Wawer  
H. Sojła  
Z. Gajda  
K. Zakuska  
A. Patek - Janusz  
Y. Wniska  
H. Dzieliszyn  
C. Kowalczyk

Krzysztof G. (Kobus)  
M. D. (D. M.)  
M. S. (S. M.)  
Y. P. (P. Y.)  
G. K. (K. G.)  
K. (K.)

Elzbieta Szafarowicz  
K. S. (S. K.)  
R. K. (K. R.)  
Z. K. (K. Z.)



**Prof. Adam Bielański**, był jednym z najznajmniejszych chemików polskich, znanym także młodzieży studiującej chemię jako autor doskonałego podręcznika „Podstawy chemii nieorganicznej”. W Akademii Górniczo-Hutniczej był znany jako twórca Wydziału Ceramicznego, pierwszy jego dziekan przez dwie kadencje oraz autor kilku podręczników z chemii dla studentów tego Wydziału. W roku 1964 profesor Bielański opuścił AGH i na zaproszenie profesora Jakóba objął po nim kierownictwo katedry Chemii Nieorganicznej na Wydziale Chemii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Po przejściu na emeryturę profesor pracował jeszcze przez wiele lat, aż do swoich setnych urodzin, w Instytucie Katalizy PAN w Krakowie.

*Książeczka „Profesor Adam Bielański Twórca Wydziału Ceramicznego” składa się z dwóch części: w pierwszej autor opisuje działalność profesora jako twórcy Wydziału Ceramicznego i jego dziekana w latach 1949–1955, a także jego ogromne zasługi na tym polu. Profesor z niezwykłą intuicją dobierał przedmioty, które powinni studiować studenci tego Wydziału, i, co było znacznie trudniejsze w zakresie przedmiotów technologicznych, znajdował odpowiednich wykładowców, głównie ludzi z przemysłu. O trafności tych wyborów niech świadczy fakt, że wszyscy oni zostali po kilku latach profesorami zwyczajnymi. W drugiej części książeczki, opartej w znacznej mierze na pamiętnikach przedstawianego bohatera, autor stara się opisać sylwetkę profesora. Profesor Bielański był po prostu przyjacielem młodzieży, zawsze pomagał w rozwiązaniu problemów, napotkanych w trakcie studiów. Profesor był doskonałym pedagogiem, jego wykłady były przystępne, zrozumiałe, a równocześnie na najwyższym poziomie naukowym. Ocena, czy autor zdołał przybliżyć sylwetkę profesora Bielańskiego jako organizatora, pedagoga i człowieka z ogromnym poczuciem humoru, należy do Czytelników.*



Stowarzyszenie Producentów Cementu  
ul. Lubelska 29, 30-003 Kraków  
tel. +48 12 423-33-55  
fax +48 12 423-33-45  
e-mail: [wydawnictwo@polskicement.pl](mailto:wydawnictwo@polskicement.pl)  
[www.polskicement.pl](http://www.polskicement.pl)

